JARYNA.

(OSTAP BONDARCZUK)

Część II.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie drugie poprawne.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1855.

JARYNA.

JARYNA.

(OSTAP BONDARCZUK)

Część II.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie drugie poprawne.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1855.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 17 Lutego 1854 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

PIĘKNY był wieczór wiosenny! Wiosna u nas zawsze piękna, i w żadnym kraju tak miła i tak wdzięczną być nie może. Gdzieindziéj zima nie tak sroga, jesień nie tak smutna i rozbudzenie ziemi do nowego życia przychodzi powolniéj, nieznacznie, a ludzie nie widzą go prawie, nie mogą poczuć silnie. U nas cudny widok wiosny odsłania się jakby skinieniem czarodziejskiéj laski: dziś płyną z gór strumienie, już trawka zazieleniała nad ciepłemi źródliskami, jutro ruszyły się ziółka na polach, krzewy wzbiérają na pączki; oto już wierzby się złocą; brzozy rozczesują warkocze i dęby poważne okrywają liśćmi, których barwa z daleka widoczna,

cechuje pana lasów. Człowiek choć przywykły do tego widowiska, musi uczuć bicie serca gdy mu ta młodość świata, własną jego przypomni; musi spiesząc do pracy, przypatrzeć się zbliska rozwinieniu życia we wszystkiem co go otacza, i w tajemniczym związku z naturą odmłodnieć, orzeźwieć na chwilę. Nigdzie zdaje się niema takiej wiosny jak u nas, tak wonnej, tak barwnej, tak dzwięcznej i wesołej, tak do serca przemawiającej; może też taką się nam wydaje, bo jej często tak długo z za śniegów wyglądamy, oczekujem... Cóż dopiero ta wiosna, gdy się ujrzym w miejscu pięknem z siebie, w oczach swych z obumarłego skeletu przeistaczającem się w obrazek życia pełen? Jakżebyś nie uśmiechnął się, nie zadumał, patrząc jak nagle suche, bezkształtne drzewa oblekają sukienki zielone, jak pod nogami twemi czarna ziemia się mai, z niedostrzeżonych korzonków wystrzelają kwiatki, z niedojrzanych pyłków wyrastają liście; jak powietrze zaludnia się ptastwem gwarliwem, wody nieme i zastygłe, rozpływają w mrukliwe i błyskotne fale; — jakżebyś nie uradował się tym cudem, który po raz tysiączny powtarza się ciągle, zawsze nowy, zawsze dziwny i niespodziany! Biada te-

mu kto nie czuje wiosny! Albo mu już życia zanadto, albo on światu niepotrzebny; litować się nad nim trzeba, albo go obawiać. Nie chciałbym ani kraju ciągłéj wiosny bez zimy, ani towarzystwa człowieka, na którym powrót téj pory nie czyni już wrażenia.

W pięknym parowie podolskim siedział młody człowiek otoczony wiosennym wieczorem, zadumany spokojnie, zadumany głęboko. Wiosna co powołuje do życia drzewa i kwiaty, ma tę szczególność dla człowieka, że budzi w nim wspomnienia żywotne, wspomnienia już tylko, ale tych lat w których on najsilniéj czuł, najmocniéj żył. Któż nie doświadczył tego, że rozkwitłych bzów wonie, że śpiew słowików, świergot ptastwa, ryk daleki trzód wypuszczonych na paszę, najwięcéj na wiosnę wspomnień obudza i młodocianne w pamięci odtwarza chwile!

Odżyć nie możemy jak drzewa nowemi liśćmi i kwiatem, odżywamy pamiątkami.

Okolica stroiła się jak piękne dziewcze do kościoła; jaśniała świeżością, wiała zapachami, rozlegała się pieśnią ludzi i ptaków. Głęboki jar podolski wszędzie bujna zalegała ro-

ślinność, osłoniona od chłodnych wiatrów, ogrzana słońcem południa; pomykając się ku niebu, zdawała wyrywać z ciasnych ziem zamykających ją w sobie. Do boków jaru czepiały się krępe dębczaki, kształtnie powyginane brzozy, wysmukłe brzosty, wyprostowane i strojne; pod niemi tarń zazdrośnik, zmówiwszy się z leszczyną, nie chcieli między siebie dopuścić nikogo; rzadki głóg, rzadka kalina lub dzika wisienka wymknęły się z ich poplątanych gałęzi, trochę wyżéj na wolniejsze powietrze. Niżéj na bujnéj ziemi, pod cieniem kolczastéj tarniny, rozkładały się zioła i kwiaty, przez szczupłe tylko między gałęźmi okienka przypatrując się słoneczku. Tu skromna a wonna melissa, czerwony groszek, chmiel obwijający się przyjacielsko, dopóki uściskiem nie wysuszy drzewa które objął, maleńki, lecz silną swą wonią dający się czuć daleko, i tysiące nieznanych a pięknych roślin, cisnęły się jedna przy drugiéj jak boży lud cisnie się na bożym świecie.

W głębi jaru stał skromny domek okryty drzewami, osłoniony ścianą parowu. Dwa krzywe, odwieczne dęby z pniami mszystemi jakby axamitem powleczonemi, roztaczały nad nim

opiekuńcze swe gałęzie. Od północy, szare złomy skał, tu i ówdzie wystające, pokrywały się także mchami, a wśród nich strzelały młode drzewek i krzewów latorośle, których ziarno zaniosły wiatry na urwisko; których podrosły pniaczek, wiatry też wyrwać groziły. Strumyk z między skał sączący się cieniuchną strugą, srebrzystą, spadał w wymyte łożysko, które przed kilką tygodniami, znać szersze było niż teraz, bo jeszcze poobrywane jego gliniaste boki, trawami nie miały czasu porosnąć. Na prawo przy domku stał drugi także budyneczek pod strzechą słomianą, oba otaczał sadek i pasieka obrzucona płotem z pni i gałęzi odżywających z wiosną, napróżno i daremnie zielone puszczających liście.

W głębi, po za domkiem u skały w której głęboką widać było pieczarę chmielem u wnijścia obrosłą stał dąb rozłożysty samotny: pod nim jakby umyślnie rzucona skała nakształt ławy szarej, wygodnem była siedzeniem.

Wyżej na górze, z dwóch dębowych prostych kloców zbity, świecił od promieni zachodzącego słońca krzyż suchym ustrojony tarnem; znamie Boże, znamie zwiastujące na pustyni o-

bejmującego ją w imie społeczeństwa człowieka.

Pod tym krzyżem, po za dębem, na skalistym złomie, nie daleko strumienia, siedział ów młody człowiek w zamyśleniu, poglądając na ściany zieleniejącego parowu w którym zamieszkał. Twarz jego jasną brodą strojna, męzka, poważna, piękna, smutna była razem; ale smutek jej nie przypadkowy, nie chwilowy, nie gwałtowny, zdawał się już życia warunkiem. Niebieskie oczy przywykły już były we łzie pływać, ze łzą się zamykać, otwierać łzą codzienną i usta uśmiechnięte łagodnie, mówiły swem milczeniem: nie dla mnie świat, a przecież ja go tak kocham! Na czole wisiała chmura, zasłona dawnéj a niezgojonéj boleści. Ubranie tego człowieka było proste, a w niem mu przecie było pięknie i do twarzy; miał na sobie letnią siermiężkę, koszulę szarą, pas czerwony, a z pod czapeczki płóciennéj wymykały się przerzadłe trochę jasne jego włosy. Pierś ogorzałą, źle osłonioną koszulą, chłodził wiatr wieczorny; on nie czuł go przecie: zadumany patrzał, patrzał widać na inny świat, na inny czas, w daleką stronę niedojrzaną, patrzał sercem, a oczy na nic mu nie służyły.

I w zamyśleniu od godziny nie poruszył się, nie zadrżał, nie zmrużył oka, siedział posągiem; tak gdzieś dusza od ciała odbiegła. Myślał jak się myśli na wiosnę, wśród samotności pięknego wieczora, o młodszych latach, o niedogonionej ubiegłej przeszłości, której tylko cień migał mu z daleka żegnając go — na wieki.

Te resztki życia, myślał w duchu, nie do mnie już one należą, do ludzi; moich było tylko chwilek kilka, na co mi po nich zdała się reszta? Przy tamtych wszystko szare, kamienne, chłodne, jak ten kamień na którym siedzę! Jestem jak zgłodniały biesiadnik co mu podadzą przysmak w początku, a potem omijają go z każdem daniem; on patrzy, czeka, wygląda na próżno—teraz już kolej na drugich. Zwodne bo też życie człowieka;— tyle obiecuje, a te obietnic kwiaty, pierwszy mrozek zwarzy i po nich niema zawiązek. Bądźmy więc drzewem co niedając owocu, służyć choć może na coś wyrastając: na budowlę dla człowieka, na schronienie gniazdom ptasim— żyjmy dla drugich, tak, żyjmy dla ludzi!

Dziwne są losy—dziwne, mówił dalej—jest w ich plątaninie niedocieczona tajemnica Boża;

są przecie szczęśliwsi, są drudzy jakby od kolebki napiętnowani i naznaczeni na rzeź nieszczęścia, zawodom. Jednym płynie żywot wstążką różową, drugim strugą krwawą. Dla czego? tajemnica! tajemnica! Lecz Bóg co wszystko urządzał swem tchnieniem, musiał mieć w tem cel, musiał uczynić to dobrem. I my może kiedyś, z góry ujrzym to jaśniej: przekonamy się, że tak jest lepiej. A może pobłogosławim męczarni i cieszyć się będziem boleściom naszym! Któż wie, czy szczęśliwi przelotnie tutaj, nie są nieszczęśliwemi w przyszłości; gdy ich to szczęście tutejsze odurzy, zatwardzi, przywiąże do ziemi, a potem w chwili wyzwolenia, skrzydeł nie znajdą by w niebo podlecieć? Moje życie ciężkie — lecz mogęż na nie płakać, mogęż się uskarżać na nie? Nie wiem. Urodziłem się w nędzy, wyrosłem sierotą, przypadek, błogosławioną ręką wyrwał mnie ze stanu zwierzęcia do godności człowieka podnosząc; otworzyła się dusza moja, ujrzałem światło, mogęż się skarżyć, gdy tylu braci moich walczy w ciemnościach? Nie! nie! Bądźcie błogosławieni i wy coście mi nie chleb tylko i suknią, ale naukę dali drogą i myśl nieopłaconą! I ty Alfredzie, coś swą przyjaznią

duszę moję stworzył, i ty—której imienia sam przed sobą powiedzieć nie śmiem, i ty—coś spójrzała na chłopa jak na człowieka—i ty, nawet coś równie karząc, odpychając, wywiódł ze mnie uczucie własnej godności, poznanie mojego położenia, i wy wszyscy których spotkałem w życiu, tak, wszyscy, bo i zazdrość wasza i nienawiść płodne były dla mnie. Błogosławieni bądźcie ludzie życzliwi i nieprzyjaźni, i błogosławioną bądź boleści moja; w szczęściu zapomniałbym może o obowiązkach, byłbym zniewieściał i upadł, cierpienie okryło mnie zbroją, dało siły i podźwigło myśli.

Z zapałem płynęły dumy młodego człowieka; lecz tu się wstrzymał ich potok, westchnął i łza z którą długo walczył, potoczyła się po ogorzałej twarzy.

— Dla czegoż, rzekł, serce mi bije do młodszych lat; do wspomnienia nędzy, do tego życia sierocego, które dla mnie prawdziwsze poprzedziło życie? Dla czego ryk tej trzody poruszył mi serce do głębi, wywołując pamięć pastuszych moich swawoli? Dla czego płaczę do mojego sieroctwa pierwszego, do złotej nędzy mojej? nie wiem!

A! zawołał—niema bo innego szczęścia na ziemi nad nadzieję i widzenie szczęścia; potem wspomnienie widzenia, mara wiary i nic więcéj.... niema innego.—Szczęście wielkie, marzone, nie byłoby trwałe, i któż wie, możebyśmy jak w bajce o Meluzynie ujrzeli wdzięczną jego postać przeistaczającą się w potwór ohydny, możebyśmy za życia nawet wspomnienie stracili—Więc tak lepiéj, lepiéj, tak być musiało, skłońmy głowę przed koniecznością żelazną.

I to mówiąc podniósł czoło, a zdrętwiały długiém siedzeniem bez ruchu, otrząsł się, chciał powstać, lecz szelest blizki go zatrzymał.

Ścieżynką od parowu, która stromo biegła w jar ocieniony drzewami, spuszczała się biała postać dziewczyny; jasne zjawisko na tle ciemnych liści; piosnka coraz ciszéj nucona towarzyszyła mu. To jedną, to drugą ręką dziewczę chwytało za głogi, za dębczaki, za brzezniak, żeby się nie ośliznąć i nie upaść; i coraz chyżéj, coraz prędzej rozbiegłszy się mimowoli skoczyła wreście w dolinę, zatrzymując prawie u dębu pod którym siedział młody człowiek. Spojrzała, postrzegła go, krzy-

knęła niby przelękniona, zarumieniła się, rozśmiała, i pogładziwszy czarne swe włosy, poczęła się oglądać do koła jakby szukała jeszcze kogo, jeszcze czego; przecież nie zgubiła nic w drodze, ale skłopotana, oglądała się tak udając, że jéj czegoś braknie.

Młody człowiek—był to Ostap Bondarczuk, którego pierwszych przygód możeście nie zapomnieli jeszcze, zobaczywszy dziewczynę, z litością i zajęciem spojrzał na nią, i w języku ludu powitał ją—Dobrym wieczorem.

—A! dobry wieczór wam—odpowiedziała ciągle się rumieniąc i oglądając—wy jeszcze pod swoim dębem?

—Cóż chcecie? wieczór taki piękny, nie można się w chacie zamknąć.

—Tak i mnie! podchwyciła—przybiegłam dowiedzieć się do was, czy nie potrzebujecie mnie do waszych krówek?

—Dziękuję ci Jaryno (*), odpowiedział Ostap—stara Lepicha już je zapewne podoić musiała.

—To już tak! zawołała dziewczyna z pro-

(*) Imie przekształcone zapewne z Ireny.

stotą, poklaskując w ręce; wy już zamówiliście sobie jak widzę starą Lepichę: no, to bywajcież zdrowi kiedy już tak! O! jakiż ty nie dobry mój Ostapie, dodała mieniając co raz i *wy* i *ty*, a nie mogąc ni na żadne się odważyć—nawet nie chcecie żebym wam się wywdzięczyła, za to coście mi matkę wyzdrowili.

— Dziękuję ci Jaryno, ale ty sama jedna jesteś przy niéj, czasu nie masz, w chacie wszystko na twoich rękach, jakżebym ja mógł pozwolić żebyś jeszcze mnie posługiwała biegając tak daleko?

— A co to za daleko? żywo odpowiedziała Jaryna, czyż to daleko? Zaraz za parowem przez pole, przez łąkę, przez dębniak, kawałek grobelki i wioska.

— A jednego z drugiém będzie dobre pół mili.

— Gdzie tam! Wam bo się tak zdaje, że daleko, bo nie wiem, od czasu jak matka pozdrowiała, czyście byli trzy razy u nas,—ale dla mnie to blizko. No! powiedźcie prawdę, dodała zbliżając się, czyż wasze krowy podojone?

— Nie wiem, rzekł Ostap, ale moja Jaryno,

tobie zatém biegać i nie łatwo i—dodał ciszéj—jeszcze i ludzie na ciebie spleść co gotowi.

Jaryna rozśmiała się i poczerwieniała razem, plasnęła w ręce znowu—Mój ty Boże! czy nie na mnie i nie na was! Alboż myślicie, że was nie szanują jak potrzeba, żeby kto śmiał co złego o was pomyślić. Porzućcie! ot lepiéj mówcie prawdę—wam się uprzykrzyło i wolicie Lepichę, bo Lepisie dacie mléka, powiecie—Dobry wieczór i koniec; a ja wam pokoju nie daję, muszę gadać, muszę zaczepić, muszę choć popatrzéć, a to was może i nudzi?

Ostap się zarumienił, ruszył ramionami.—Co tobie w głowie Jaryno? rzekł powoli. Juściż mnie co tu tak sam jeden siedzę jak na puszczy, miło z kim pomówić, miło do kogo się odezwać.

—Tak, ze starym jakim, ze znachorem, albo z takim co to dawne rzeczy pamięta—ale ze mną? Ruszyła także ramionami. No—ale powiedzcie mi czy krowy wasze podojone? pójdę ja sama zobaczę do obórki. Tylko jeśli tam już Lepicha jest? E! to nic! mogę jéj pomódz. I żwawo pobiegła mijając Ostapa ku o-

gródkowi, który osłaniał oborkę. Ostap pozostał pod dębem, zwolna, zamyślony przechodząc się po murawie i poglądając na piękną Jarynę, która nie jeden raz obejrzała się z uśmiechem ku niemu.

Jaryna w istocie była piękna, choć trzeba było nie zepsutych oczów żeby dojrzeć jéj niepospolitéj piękności, bo ją okrywał strój niewdzięczny i zaniedbanie pracowitych ludzi.

Ale pięknemu we wszystkiém pięknie i zawsze do twarzy: Jaryna pomimo obcisłéj podolskiéj zapaski, która bogate kształty jéj kibici wydatnemi czyniła, pomimo grubéj swéj koszuli, pomimo opalenia, była oryginalnie i istotnie piękną. Twarz jéj doskonale owalna choć smagława ale cery pełnéj krwi i ognia, rumieniła się żywo; oczy czarne pałały, nosek mały, prosty, kształtny z rozdętemi nozdrzami jak u konia araba, spuszczał się na usta wązkie, malinowe, maleńkie, których strój, ząbki białe, przy ciemném licu bielszemi się jeszcze wydawały. Gęsty, bujny jak podolskie zboże, warkocz, okręcony do koła głowy, strojny w zieloność i kwiatki koronował ją nakształt popiersi starych greckich medalów.

Szczególnym zapewne ale nie jedynym przykładem, rękę i nogę miała małą i kształtną choć zaniedbaną, ramiona jak utoczone; a silna i wysoka, w pasie, który czerwony włóczkowy obejmował *pojas*, gibka była i cienka jak niedorosła dzieweczka. Wyraz jéj twarzy zapowiadał uczucia gwałtowne, wolę niezłomną i bystre pojęcie.

Jaryna znikła za krzewami sadząc przez płoty jak sarna, a Ostap znowu zamyślony usiadł pod swoim dębem.

— Otoż — myślał, jeden z tych pięknych dzikich kwiatów, które trochę słońca, takby wspaniale rozwinęło? Lecz zaledwie od piersi macierzyńskiéj, z kolan matki skoczyć musiała do pracy; pełzając jeszcze już służyć się uczyła. Promyk myśli jeśli zaświtał w jéj główce, to go tam Pan Bóg chyba zesłał przez Anioła Stróża, bo nikt z ludzi nie pomyślał, że nie dość jest pokarmu, odzieży i snu, że potrzeba myśli, światła, uczucia, coby wewnątrz jak w lampie zapłonęły...

A dusza wyrywa się ku temu światłu którego pragnie, jak drzewa tego parowu podnoszą gałęzie i spieszą rosnąć by się wydobyć

ku słońcu. Jak ona słucha, jak chwyta, jak pamięta każde słowo! jak w niej ziarenko drobne rozrasta się i rozkwita! Ileż to razy zdumiałem się gdy po dniach kilku powtarzała mi moje własne wyrazy przez nią przerobione, silniejsze zdaje się i ognistsze! Lecz jakiż ją los czeka? Szumne wesele, mąż obojętny, dzieci piskliwe, niedostatek, praca nad siły, wczesna starość, smętna zimna, swarliwa...

Domawiał w głębi piersi tych wyrazów, gdy Jaryna szybko z krzaków wybiegła i zastanowiła się przed nim ze skopkiem w ręku.

— Nie ma i nie było Lepichy, zawołała wesoło patrząc mu w oczy, nawet stary Iwan mi się przyznał, bo to taki poczciwy człowiek, że Lepicha tu ani razu nie była. Dajcież pokój i nie zamawiajcie jéj. Co to wam szkodzi, że ja sobie codzień przybiegnę i parę tych krów udoję. Mnie to miło.

— Ale taki kawał drogi iść codzień.

— Co to wam do tego? Toć za to posłucham was, a ja tak lubię słuchać gdy mówicie.

I zasłoniła się i spuściła oczy.

— A ludzie! rzekł Ostap.

— No! jeśli wola niechaj sobie plotą, mnie to wszystko jedno.

— I za mąż nie pójdziesz!

— Dajcie mi pokój! Sto razy poszłabym gdybym chciała, bo starego Kuźmę ludzie znają, że zapomogi nie potrzebuje, a ja u niego jedynaczka—Ale ja nie chcę.

— Dla czego?

— O! to—chcecie wiedzieć? no to powiem! bo drugiego Ostapa we wsi niema! zawołała prędko i uciekła.

Ostap na to niespodziewane oświadczenie osłupiał i pozostał w miejscu przybity, zasmucony na długo. Kto wie co się w tej chwili w sercu jego działo! tak przykro miłość odepchnąć, ten najdroższy dar na ziemi.

Już słońce skryło się za góry i chłód często ostry w dolinach, dojmować zaczynał, gdy powolnemi kroki przeszedł ku domkowi, ale nie wchodząc do izby, zrzucił tylko czapkę i siadł na progu. Jaryna niepostrzeżona przesunęła się zmrokiem już przez ogródek, wdrapała na strome wzgórze po ścieżce ledwie znacznej i spójrzawszy raz jeszcze na Ostapa z góry, szybko pobiegła do wioski.

Nazajutrz znowu pogodny wiosenny wieczór ozłacał parów Bandarczukowego chutoru żywemi blaski zachodzącego słońca, a Ostap powróciwszy z wędrówki po wsiach sąsiednich, w których miał chorych, bo febry zwykle z wiosną najczęstsze, pokazywać się zaczynały — otarłszy pot z czoła, postawiwszy kij w kącie sieni, szedł pod dąb usiąść, spocząć i dumać wedle zwyczaju. Kilka razy oczy jego zwróciły się na ścieżkę, którą zwykła była przychodzić Jaryna, i zasmucił się, jakby pragnął żeby więcéj nie przyszła, jakby jéj wesołość ściskała mu serce, jéj widok go męczył.

Po wczorajszém wyznaniu tak dziwném, sądził, że przynajmniéj dni kilka się nie pokaże; ale nie znał serca kobiety i zapomniał wychowaniec miasta obyczajów wieśniaczych. Jaryna zjawiła się znowu o swojej godzinie, wesoła jak była wczoraj, spokojna, i powitała go piérwsza zwykłym—Dobry wieczór.

Oczy jéj nawet śmieléj dzisiaj powtarzały, to co usta powiedziały wczoraj—Ostap smutniejszy był i zafrasowany.

W jego sercu był chłód wspomnień tylko, nie mogło być i nie było namiętnego przywią-

zania, bo wszystkie jakie miał zwrócił ku jednéj kobiecie; najognistsze uczucie nie mogło rozpłomienić tych ostygłych popiołów. Pomimo to czuł jakąś wdzięczność, czuł przyjaźń i życzliwość dla kobiety, która się do niego przywiązała. Widział on oddawna, jak z drżeniem poszanowania, z uwielbieniem jakiemś cichem nieraz przysłuchiwała się jego słowom; dostrzegł nieraz płomyka w jéj źrenicy, drżenia w głosie, rumieńca na twarzy; ale tłómaczył to sobie — poszanowaniem, bojaźnią, wdzięcznością. Miłość zjawiająca się niespodzianie na drodze jego życia, już zamkniętéj w ciasne szranki, choć ją witał mile, była dla niego frasunkiem, i niepotrzebnym ciężarem. Jak się za nią wypłacić? co z nią począć było?

Sumienie kazało odepchnąć, litość broniła — chwilę walczył, wreście pomyślał jak wielu — To tylko upodobanie chwilowe; wielkie namiętności są rzadkie, u ludzi niższego stanu rzadsze jeszcze niż gdzieindziéj; nie mają czasu myśleć, ani poddmuchiwać ognia, praca ciężka broni ich od wielkiego cierpienia — to minie.

I podniósł głowę odpowiadając na powita-

nie pięknej Jaryny, uśmiechniętém — Dobry wieczór!

Jaryna jak zawsze ubrana w kwiatki polne, wyświeżona, prawie strojna, spoglądała na niego gorąco, zalotnie i oparłszy się o pień dębu pod którym siedział, poczęła rozmowę.

— Widzicie jakem się uwinęła — skopałam kawałek ogrodu, wysadziłam i podlałam rozsadę, nastawiłam wieczerzę i matce ją poleciwszy, pospieszyłam do waszych krówek. Dowiadywałam się od Lepichy czy to prawda żeście ją zamówili, ale jako żywo, ani słyszała o tém — Ona już nawet nie zduża.

— Dziękuję ci Jaryno, ale tobie to także za ciężko.

— Ciężko widzicie, tylko to co niemiło, odpowiedziała śmiało dziewczyna.

— Tyś taka poczciwa moja Jaryno, że tobie miło zawsze każdemu dobrze zrobić.

— Każdemu myślicie! O! nie! nie jestem już ja taka dobra. Jednemu się robi aby zrobić, drugiemu robi się z całego serca.

— Daj Boże zawdzięczyć ci twoje dobre serce.

Dziewczyna westchnęła—Albo to ja potrzebuję waszej wdzięczności?

Podniosła głowę, dwie łzy zakręciły się w jej czarnych oczach, ale je wstrzymała nim upadły i uśmiechnęła się znowu:

— Jak mi się zechcecie wywdzięczyć, pamiętajcie, zawołajcie Jaryny i pozwólcie jej słuchać gdy będziecie mówić o czém długo, długo, długo.

— O czém?

-- A! o czém sobie zechcesz. Lubię was słuchać nawet kiedy nie rozumiem; jeśli słów nie pojmę, to wasz głos dzwięczy mi w uszach jak najpiękniejszy śpiew ptaszka.

— Dziękuję ci—rzekł z przymuszonym uśmiechem Ostap, to twoje poczciwe serce tak mi się wywdzięcza za matkę.

— Za matkę? cicho szepnęła Jaryna,—niechaj i za matkę! Ale mnie się zdaje, że i bez tego jabym czuła co i teraz, to jakoś Bóg wie zkąd przyszło. Wprzódym się was bała, bardzo bała; myślałam sobie: taki rozumny człowiek to musi być bardzo straszny; a jakem się przekonała, że wasz rozum potulny i cichy i dobry, ciekawam była tego rozumu,

i ot tak powoli, powoli—a teraz jakbym was długo nie widziała, czuję żeby mi było bardzo tęskno,—a gdyby mi kto powiedział że nigdy nie zobaczę....

—Cóż wówczas Jaryno? wszak to być może? jam nie tutejszy i kiedykolwiek oddalić się mogę.

—O! nie mówcie! na co to mówić!—zawołała z zapałem, i suchemi już oczyma—to być nie może! No! a gdybyś poszedł gdzie od nas daleko—to ja za tobą.

—Żartujesz Jaryno—rzekł Ostap z przykrém uczuciem w sercu, a matka? a ojciec? dodał łagodniéj.

—Matka—ojciec—to prawda! ciągnęła daléj smutnie. Matka, ojciec, chata nasza, pólko nasze, to ciężko porzucić; a coby oni bez swojéj jedynaczki poradzili? No—to gdybym za tobą pójść nie mogła—to bym—ot—ja nie wiem.

Odskoczyła od drzewa, porwała skopek i zakrywając oczy pobiegła ku obórce. Ostap wstał zamyślony, smutny, zniecierpliwiony prawie i zamknął się w swojéj izdebce. W godzinę potem Jaryna go szukała powracając pod dębem, w ogródku, na progu, podkradła się

pod okienko, zobaczyła siedzącego nad stołem, i widząc zamkniętego w téj porze, którą był zwykł przepędzać na podwórzu, domyśliła się że jéj unika.

— To tak! szepnęła cicho do siebie—chce? nie zobaczy mnie więcéj—ale ja widzieć go będę!

I żywszym krokiem pospieszyła do wioski.

Ostap przemęczył się w zamknięciu do późna; pewien dopiéro, że Jaryna już do wsi dojść musiała, wyszedł swoim zwyczajem na próg, bo do późnéj nocy zwykł był siadywać na kamieniu u drzwi, w myślach i modlitwie.

On może jeden ze wszystkiéj młodzieży co się pod te czasy w Berlinie uczyła, on może jeden się modlił. Nadto był rozumny, żeby miał stracić wiarę, nadto wierzył, by chciał najwyższe dobro człowieka, dumnym a czczym rozumowaniom poświęcić. I zdawało mu się jak wielu innym, że rozum nie kłóci się z wiarą, a wiara nie może przeklinać rozumu.

Księżyc wszedł na niebo i blade jego światło ubieliło przed chwilą złociste drzewa; — ślicznie teraz wydawał się jar osuty gąszczami, tajemniczy, cienia pełen, wśród którego

drżały porozrzucane światła księżycowe. Cienki strumyk błyskotał w ciemnościach, chwytając promyki i bawiąc się niemi. Ostap przedumał długo a długo, modlił się także; ale po prostu, po swojemu, modlitwę ten wyskok duszy ku niebu przerywając zamyśleniem nad sobą. Północ się zbliżała, głęboka cisza nocy wiosennej, tajemnicza, urocza, niepokojąca, rozlewała się do koła, przerażając swą niezbadaną wielkością. Bóg przeznaczył ten czas na sen dla wszelkiego stworzenia, aby mu oszczędzić dum jakie obudza milczenie głuche, milczenie potężne. Ostap słuchał myśli własnych; wtém zdało mu się, że dochodzą go zdaleka tentent koni, głosy ludzi.

Nie byli to nocleżanie, bo w téj stronie nie zbierali się nigdy parobcy z końmi i wołami, wypasów brakło.

—Może kto jedzie wezwać mnie do chorego, pomyślał sobie i poszedł ku domowi.—Tentent i głosy zbliżały się powolnie. Lekki wietrzyk, wiejący od strony z której przychodziły głosy, donosił je wyraźnie wśród ciszy; Ostap dosłyszał urywane słowa:

—A nie mylicie się bracie.

— Nie, panie, ot już jesteśmy pod jarem.

— A jest w domu?

— Zdaje się że jest—Resztę tentent koni zagłuszył. Zapytania czynione były po polsku, odpowiedzi w języku ludu.

— To do mnie ktoś jedzie, chwała Bogu żem gotów.

Stał w progu: otwarły się wrotka skrzypiące, i jeden konny wjechał, drugi wszedł pieszo prowadząc za sobą konia. Księżyc oświecił wjeżdżającego mężczyznę, który był okryty płaszczem ciemnym; zatrzymał się on pod gankiem, zsiadł i milczący wchodził, gdy u drzwi postrzegł Ostapa, popatrzał, poznał go i rzucił mu się na szyję.

— To Alfred!

— Ostapie to ty! zawołały razem dwa głosy.

— Co za gość! co za gość niespodziany, kochany—rzekł gospodarz, wiodąc go do ciemnej jeszcze izby—Przybyłeś do znajomych, do krewnych i nie zapomniałeś o mnie. Ale dla czegoż tak późno?

Już byli w izbie i drzwi zamknęły się za nimi.

—Jakżem ci wdzięczen!

—Nie dziwuj się, ani dziękuj, rzekł przybyły smutnym głosem—przyjechałem do ciebie umyślnie i przywiozłem ci nie pozdrowienie przyjaciela, ale ciężar na barki twoje.

— Ciężar Alfredzie? Ty dla mnie ciężarem! niewdzięczny jesteś, niewdzięczny!

—O! nie o mnie to mowa—ale poczekaj, nie mam siły mówić ci wszystkiego zaraz, niech odetchnę; niech spocznę. Odprawmy człowieka który mnie tu przyprowadził, nakaż mu milczenie, mogą mnie szukać, niech nikomu nie mówi, że mnie tu przyprowadził.

—Jak to? cóż to jest? chowasz się?

—Uciekam!

—Ty?

—Ja! Zobacz go, ty go znasz, uproś od siebie, oto pieniądze—oni cię wszyscy kochają, dla ciebie milczeć będzie—nie pytaj mnie, uczyń tak!

Ostap stał niemy niemogąc zrozumieć o co chodziło, ale choć dotąd nic prawie nie wiedział, domyślał się głównego że Alfred chce się ukryć; wyszedł więc i przewodnika, dobrze

sobie znajomego, odprawiwszy dla spoczynku i posiłku, opłaciwszy go, nakazał mu żeby nikomu a nikomu nie mówił, iż do chutoru kogoś nieznajomego przeprowadzał.—Mnie byś tem mógł zaszkodzić—dodał, rachując na przywiązanie ludu do siebie.

—Bądźcie spokojni, żywa dusza wiedzieć nie będzie, szepnął przewodnik i wszedł po cichu.

Gdy wniesiono światło, zdumiał się Ostap spójrzawszy na Alfreda, tak dziwnie znalazł go zmienionym. Przedwczesna starość zmarszczyła i wysuszyła niegdyś piękne delikatnością rysy twarzy, które się stały ostre i suchą zżółkłą skórą pokryte były. Na głowie Alfreda przerzadły włos już się posrebrzać zaczynał, policzki wpadły głęboko, oczy zagasły a schylone ramiona zmniejszały go jeszcze.

—Co to jest? spytał szybko Ostap objąwszy go wejrzeniem szybkiem i siadając przy nim—mów, proszę się, co to jest? co ci się stało? nie mogę znieść téj niepewności. Cokolwiek cię spotkało, musisz mi powiedzieć, zlitujże się i mów prędzéj—tobie i mnie zbywszy się tego ciężaru, lżéj będzie.

— Mnie! może—tobie, nie wiem, rzekł Alfred smutno—i nam obu podobno nie rychło lżéj będzie, poczciwy mój przyjacielu. Ale powiedzieć muszę, potrzeba—słuchaj więc. Jesteśmy sami, będzie to szczera spowiedź!

Widzisz mnie, trudno poznać takém się odmienił—Spójrzyj na mnie, to moje szczęście tak się wypiętnowało na twarzy!

— Alfredzie! nie bluźń, rzekł cicho Ostap cisnąc jego rękę—jeśli nie jesteś szczęśliwy, sam winien temu jesteś.

— Ja nie szydzę, nie bluźnię, poważnie podchwycił hrabia, nie, nie, mówię ci szczerze, mówię ci prawdę; byłem i jestem szczęśliwy i szczęście moje mnie dręczy. Michalina jest najlepszą w świecie żoną, aniołem dobroci: ale co dzień patrząc na to co ją moje szczęście kosztuje, widzisz w co mnie zgryzoty przemieniły! Gryzę się i truję poświęceniem téj kobiéty.

— Ona cię kocha!

— Ona mnie nie kocha, nie kochała, nie mogła kochać, rzekł surowo hrabia—jest to jedna z tych rzadkich kobiét co kochają w życiu raz tylko i na zawsze.

Ostap spuścił oczy, krwią się oblał, udał że nierozumie i milczał. Alfred mówił dalej:

—Ale Misia jak święta, gdy raz przysięgła u ołtarza podzielić ze mną życie, spełnia swą ofiarę bohatersko, męczeńsko: żyje mną i dla mnie tylko, choć serce jest gdzieindziej. Pan Bóg dał jej pociechę—dziecię; u jego kolebki dopiero, trochę sił nabrała. Ukazałem ci z pod zasłony, która dla całego świata życie nasze pokrywa, część jego najważniejszą; nikt z obcych, prócz ciebie nie przeczuwa, nie domyśla się, posądzić ją nie może o poświęcenie, tak je spełnia z twarzą wesołą, z uśmiechem rezygnacyi i spokoju. Ja tylko jeden, ty drugi, wiemy co się dzieje w jej sercu.

—Alfredzie, przerwał Ostap, pozwól sobie przypomnieć com ci nieraz mówił dawniej jeszcze w Berlinie. Wy ludzie złą cywilizacyą zepsuci, przywykliście w każdym kwiecie wprzód niż zapachu i barwy, szukać robaczka co go toczy; z pyłków kielicha często tworzycie sobie potwory. Schorowana wyobraźnia wasza wyciąga przed was widziadła i mary.

—To nie są mary! to prawda święta! o! jakbym chciał się mylić! Ale dość tego—ser-

ce mi się krwawi. Miarkuj życie moje. Nie mogę jéj pokazać, że wiem jak cierpi, ani ją pocieszyć; kocham ją, zawsze spragniony wzajemności, a już się jéj przestałem spodziewać. Jestem nieszczęśliwym jedném słowém. Od lat dwóch straciłem złudzenia wszelkie, wszelkie choć dalekie urojenie, że się Misia odmienić może dla mnie. Ona mnie szanuje, ceni, ale nigdy kochać nie będzie.

— Biedny Alfredzie, jakże jeszcze chcesz żeby cię pokochała? Mówisz jakbyś miał lat dwadzieścia.

— Tak! dziecinię się! Jak? jak chcę żeby mnie pokochała! to ja wiem! tak jak umie kochać i kocha kogo innego. Znam jéj serce bom lata całe śledził jego głębie, i wiém.

— Mów daléj, przerwał Ostap.

— Z wesołą twarzą udając także szczęście, cierpię i znoszę męczarnie całując ręce jéj z wdzięcznością. Ale tu — dodał uderzając w piersi — o tu — mam całe piekło! Nie dziwuj się, że rozdrażniony, wściekły, ilekroć mogę, mój gniew przeciwko sobie, moję zajadłość, wylewam na ludzi.

— Cóż oni winni?

— Ja wiem, że niewinni! ale namiętość nie zna logiki, jam winien sam, to pewna, ale na kimże się mścić będę?

— Dla czegoż masz się mścić!

— Bo chcę zemsty.

— Mój Boże! Alfredzie, ja cię nie poznaję!

— Ja sam poznać się nie mogę, ani w zwierciedle, ani w sercu własném.

— Biedny Alfredzie.

— Szukałem téj głupiej zemsty i znalazłem ostatnie nieszczęście, które mnie dobija. Co żyło w sąsiedztwie potrafiłem oburzyć, obrócić na siebie, zniechęcić, podnieść; zrobiłem sobie nieprzyjaciół podostatkiem. Od ludzi co mnie najbliżéj otaczają, począwszy, od krewnych, zadrażniłem się ze wszystkiemi.

— Zlituj się Alfredzie; to szał! to obłąkanie!

— Tak! to szał, ja nie jestem panem siebie! męczę siebie, męczę drugich. Szał! uznaję, ale wylecz że mnie z niego?

— Kto wie?

— Strułem jéj życie i szczęście, strułem swoje może, kto wie? byłbym znalazł inną?

Ja jej nie kochałem gdym się z nią żenił, miłość wzrosła niepodobieństwem pozyskania jej. Zresztą nie wiem nic, nie rozumiem nic—jestem nieszczęśliwy—to dosyć.

— Ale dla czegoż uciekasz? czego się masz kryć? co to jest znowu?

— O! to ostatnie i najwyższe nieszczęście—muszę ją i kraj porzucić.

— Dla czego?

— Dzieciństwo—odparł Alfred ponuro, byłem zły i pragnąłem na kogoś złość wylać, nawinął mi się jakiś wartogłów, plunąłem mu w oczy, wyzwał mnie, strzelaliśmy się—i

— Ty go zabiłeś! krzyknął Ostap łamiąc ręce.

— I cóż z tego? zabiłem! rzekł Alfred ruszając ramionami — to najgorsza, że uciekać muszę.

Ostap się wzdrygnął.

— I ta krew ci nie cięży, krew niewinna, krew bratnia! Alfred spuścił głowę i westchnął; dotąd mówił z rodzajem gorączki, teraz rzucił się na posłanie i zawołał—nie mów, dosyć tego.

Po chwili podniósł twarz zbladłą i mówił dalej:

—Zabiłem go—muszę uciekać, gonią za mną; w tych dniach za staraniem przyjaciół dostanę się za granicę. Ale nie pójdę ztąd, nie usunę się choćby mi największe groziło niebezpieczeństwo, póki ty mi nie dasz słowa, że moja żona i dziecię pod twoją zostaną opieką, aż do powrotu—aż do—nie wiém dopóki—Bo czyż powrócę?

—Pod moją opieką! Zawołał Ostap jakby nie rozumiał—jakto?

—Jutro, ja odjeżdżam za granicę, ty jedziesz do Skały jako opiekun Misi i Stasia.

—Ja, ich opiekunem! co ci się dzieje człowiecze! spójrz na mnie! Cóż tam pomoże prosty chłop jak ja.

—Zrobisz wszystko, bo wiem że zechcesz zrobić, że potrafisz. Majątek mój zostawuję w stanie najgorszym, processów mnóstwo, ludzie złą administracyą panów rządców zniszczeni i prawie rozpaczą zbuntowani, sąsiedzi nieprzyjazni, wierzyciele uprzykrzeni—Misia sama jedna. Jeśli mi odmówisz, jesteśmy zgubieni.

— Mów raczéj, jeśli ci przyrzeknę—jakże jabym temu mógł podołać!

— Sercem, wolą, rozumem. Ty możesz co zechcesz!

— Interessów, rządu majątku, spraw, ja nic nie rozumiem.

— Dla ciebie nic trudnego niema.

— Alfredzie! co za myśl dzika.

— Mógłżem się omylić rachując na przyjaźń twoję! Ostap zamilkł; Alfred w oczy mu spójrzał i żywo dodał.

— Ja ci ufam, ty mnie rozumiesz, ja ci zupełnie ufam.

— Ale ja nie ufam sobie! odparł smutnie Ostap.

— Tyś silny, ty możesz co zechcesz, powtarzam—chciej a uratujesz nas.

— To nad siły moje—zawiódł bym cię, robiąc nadzieję.

— Więc słuchaj Ostapie, rzekł hrabia podnosząc się, albo zostanę i sądzony pójdę chwilę gniewu odpokutowywać ciężkiém, upokarzającém wygnaniem; albo ujdę sromotnie zostawu-

jąc co mam najdroższego na zgubę, na nędzę, na zajadłość nieprzyjaciół.

—Chcesz mówić otwarcie? odezwał się Ostap.

—Mów, lecz nie wyrzekaj się mnie—nas.

—Michalina—rzekł Bondarczuk usiłując wymówić więcéj, Michalina—głos zamarł mu w ustach.

—Kochała ciebie i kocha cię jeszcze, przerwał Alfred—ja to wiem; lecz wiem razem, że najszlachetniejszemu z ludzi los mój powierzam. Tego ja się nie boję—Któż wie? może nawet ciągle karmiąc się ideałem.

Ostap gorzko się uśmiechnął i dokończył.

—Tak—może zobaczywszy mnie, rozśmieje się, ruszy ramionami i uleczoną zostanie. Dobra i piękna myśl! dodał wzdychając i śmiejąc się razem—Stanę przed nią tak aby mnie kochać nie mogła, zwalam się dla niéj umyślnie, pokażę się jej zimnym, obojętnym, zgłupiałym i pogardzi mną.

—Tybyś to uczynił dla mnie!—krzyknął Alfred w przystępie egoizmu radośnego.

—Dla ciebie? nie!—dla niéj tylko! od-

parł Ostap — dla niej, bo ją kocham, a ona moją nie mogła być, nie może.—Uczynię to, a potém — ucieknę i umrę. Będzieszże jeszcze śmiał powiedzieć, żeś się na mnie zawiódł?

Alfred rzucił mu się na szyję. Ostap bezsilny upadł na ławę, i głowę chwytając w dłonie, zamilkł,

---

Dzionek wiosenny świtał zaledwie na niebie pogodném, a już nie zmrużywszy nawet oka, Alfred po długiej nocnej rozmowie, w dalszą wybierał się drogę; czując że krewni zabitego chciwi zemsty, gnać go będą zajadle i chwycić mogą, jeśli nie pospieszy ukryć się za granicą. Ostap po nocnych zwierzeniach, i przyrzeczeniu, które na nim wymógł przyjaciel, bezsilny, wątpiąc o sobie, smutny, patrzał na wyjazd Alfreda z założonemi rękoma i zdawał się cofać z bojaźnią przed wielkością ofiary, jakiej po nim wymagano. Alfred to wiedział i nieustannie to prośbą, to zaklęciem, to słowem przyjaźni wymagał zapewnień i powtórzenia przyrzeczeń.

— Słuchaj — mówił raz jeszcze na wsiadaniu trzymając go silnie za rękę — dałeś mi

słowo, jedziesz natychmiast objąć opiekę nad Misią i Stasiem; jeśli się cofniesz, zgubisz ich i zgubisz mnie. Nie mam nikogo prócz ciebie, tyś dla nich i dla mnie krewnym, ojcem, opiekunem, przyjacielem, wszystkiem. Brzemię wielkie, ale i ty w oczach moich wielkim jesteś, dzwigniesz je.

— Lub upadnę pod niem.

— Nie upadniesz, zawołał Alfred—nie upadniesz, tyś silny.

— Bóg to wie, smutnie całując przyjaciela i cisnąc dłoń jego, odparł Ostap—jedź spokojny, uczynię co tylko będę mógł, poświęcę się nie oglądając na siebie, na jutro, na nic. Jeśli ta ofiara jak tyle innych na świecie, zostanie daremną, nie mnie miej za złe. Biorę za świadka tego, który widzi wszystko, że krwi nawet mojej nie pożałuję dla was.

W milczeniu ścisnęli się raz jeszcze i Alfred szybko popędził konia, niechcąc więcej patrzeć na twarz przyjaciela. Tak w téj chwili bladość jéj, zasępienie, srogim dla niego były wyrzutem.

Ostap pozostał w ganku przykuty do progu, osłupiały, w tym stanie znużenia umy-

słowego, w którym ciężko jest otrząść myśli i przyjść do siebie. Cały prawie dzień spłynął mu na rozmyślaniu o przyszłości, na rozpatrywaniu zostawionych przez Alfreda papierów, na planach i mierzeniu się z ciężarem, jaki mu w spadku pozostał.

Ku wieczorowi, niepodobny do siebie, spracowany wytężeniem myśli i uczuć, powlókł się biedny pod dębowy krzyż swój, spórzał na ten znak przypominający nam codziennie wielką ofiarę Boską, i łzy dawno nieznane mu, jak dziecięciu puściły się z oczów obficie.

— Mistrzu poświęceń i mistrzu cierpienia,— zawołał z głębi duszy—naucz mię co mam czynić. Ty widzisz, że mi nie żal niczego, że drżę tylko przed ogromem powinności, ale się jéj spełnić nie wzdrygam. Kieruj mną, żebym nie zachwiał się, nie osłabł, nie upadł.

I mówiąc te słowa, rzucił się na kamień bezsilny, na wpół omdlały.

— Dobry wieczór! odezwał się wesoły głosek Jaryny, który zabrzmiał dziko i sprzecznie w uszach Ostapa.

Podniósł głowę, spójrzał, nie widząc w początku ani kto mówił, ani co powiedziano do

niego, potém powoli wpatrując się w twarz uśmiechniętą wieśniaczki, odpowiedział jéj przywitaniem, ale tak cichem, że ledwie dosłyszeć go mogła.

Łatwo jéj było dostrzedz, że Ostap nie był w zwyczajnym stanie duszy: twarz, oczy, głos zdradzały niezwykłe poruszenie, boleść, znużenie; popatrzyła na niego dziewczyna i z uczuciem spytała.

— Co to wam?

— Mnie? nic, jak widzicie.

— O! cóś wam jest! Wszakżeście nie chorzy?

— Nie, nie.

— A cóż to się wam stało?

— Co? tak jak nic. Tylko mi żal tego spokojnego jaru, téj cichéj chatki mojéj i was wszystkich.

— Dla czego żal? — żywo podchwyciła Jaryna przysuwając się ku niemu.

— Bo wszystko to opuścić trzeba.

— Jakto? dla czego opuścić? ja was nie rozumiem.

— Jutro — za dni kilka najdaléj, pojadę.

— No! i powrócicie.

— Któż wie jadąc czy powróci?

— Alboż możecie odjechać daleko, na długo?

— Muszę.

— E! to wy mnie tylko straszycie—to być nie może, to być nie może—nie—nie.

— Tak przecie jest.

Jaryna puściła z rąk skopek który trzymała. Spójrzała obłąkanym wzrokiem i zakrzyknęła:—Jakto! to wy doprawdy — to ty doprawdy odjeżdżasz.

— I daleko, i na długo, rzekł Ostap.

— A ja! zawołała dziewczyna—a ja!

Słówko to wyrwało się jéj z ust, mimowolnie, prędkie jak myśl, niepostrzeżone przez nią samą. Gdy usłyszała własny głos, zawstydziła się, spuściła oczy, zapłakała spłoniona rumieńcem, nieśmiejąc ani już podnieść wzroku, ani się odezwać; pierś jéj tylko silnie się poruszała wstrzymywanem uczuciem. Ostap z litością patrzał na nią i dumał coś, dumał, dumał w sobie, aż zbliżywszy się ku niéj i wziąwszy ją za rękę, posadził na kamieniu przy sobie.

Pierwszy to raz dotknął się jéj dłoni, piérwszy raz biedna Jaryna poczuła się tak blizką jego, i wielki smutek który przed chwilą wyrwał jéj z ust tyle mówiący wyraz, stopił się w szczęściu bez granic. Rodzaj miłego obłąkania zawrócił jéj głowę, oczy łzą jeszcze zaszłe zaćmiły się, usta uśmiechnęły, ręce pod dotknięciem jego zastygły i zadrżały. A Ostap?— on przecie był zimny jak kamień na którym siedział i drżenie Jaryny nie przeszło do jego piersi, w któréj była tylko smutna litość. On tylko myślał i rachował prawie samolubnie, a dziewcze ani się dorozumiewało, że miało być tylko kółkiem nieznaczącém, potrzebném do obrotu osnutych przyszłości planów.

Wstydząc się i płoniąc Jaryna podniosła oczy na niego; spodziewała się w nim znaleźć więcej wyrazu i inne uczucie, a chłodne tylko zamyślenie powiało ku niéj z wejrzenia Ostapa. Wstyd powtórnie ją ogarnął, ukryła czarne swe oczy, z których łza gorzka wytrysła. Przed chwilą szczęśliwa, zażądała umrzeć gwałtownie, porwała się—Ostap ją lekko za rękę powstrzymał.

—Jaryno, rzekł tym głosem, któremu by-

ła pusłuszną jak dziecię słowom ulubionej matki—widzę, że tobie może, choć trochę za mną żal będzie?

—Trochę! szepnęła dziewczyna z oburzeniem—mówisz trochę! na co żartować? po co kłamać? Jabym, jabym—umrzeć chciała, gdyby się to godziło—tak mi żyć będzie ciężko bez ciebie.

—Świat wielki—ludzi wiele, tak ci się dziś zdaje, a jutro zapomnisz—rzekł nie bez wzruszenia Bondarczuk.

—Kobiéta nie zapomina.

—Póki kocha, smutnie mówił Ostap—ale Jaryna słów jego nie dosłyszała, tak była cała ogarniona dziwnem położeniem swojém i zbliżeniem do niego.

—Więc trochę potęsknisz za mną? spytał znowu.

Dziewcze milczało.

—Ale za miesiąc, za dwa, za cztéry, z jesienią przyjdą swaty ze wsi sąsiedniej, od wójta, od Tymona, od starosty, z bogatéj chaty, od ładnego parobka i Jaryna pójdzie za mąż.

— Nie! krótko ale stanowczo odezwała się podnosząc oczy—nie.

— A jak rodzice każą?

— Nie każą, a gdyby kazali, to im do nóg upadnę i wyproszę się.

— A jak pan każe.

— Ucieknę a za mąż nie pójdę.

— Dla czego?

— Na co kłamać? na co dłużej bałamucić?— zawołała gorąco—nie pójdę za nikogo, bo nie pójdę za Ostapa.

— Ale Ostapa nie będzie.

— Będę czekać aż powróci.

— A gdyby nie wrócił?

— No! alboż to życie długie? Dni długie a życie krótkie—mówiła ciszéj.

— A gdyby,— rzekł z wahaniem i powolnie Ostap—gdyby Ostap na odjezdném poszedł do matki i do ojca, i poprosił ich o ciebie, i zaprowadził cię do cerkwi.

Dziewczynie głosu zabrakło, rzuciła mu się na szyję i krzyk tylko dziwny, dziki, coś nakształt głosu zwierzęcia, wyszedł z jéj piersi.

— Słuchaj mnie,—rzekł zimno i z pewnym

smutkiem Ostap—będziesz moją żoną, ale na długo musisz pozostać sama, bo ja ztąd oddalić się muszę, zabrać cię z sobą nie mogę i—nie wiém czy powrócę nawet.

—Po cóż ten ślub?—smutnie spytała Jaryna—zobaczyć tylko słoneczko i na wieki zaślepnąć.

—Kto wie? może i wrócę, a wówczas będziemy tu żyli razem na chutorze—i—nie domówił, bo to życie, które dla Jaryny świeciło słoneczkiem, dla niego wydawało się chmurą czarną. Załamał ręce, westchnął, zamilkł.

Jaryna była w stanie bliskim obłąkania; w głowie jéj mięszały się czarne i jasne myśli, nadzieje i strachy; nie rozumiała co się z nią działo, nie mogła sobie wytłómaczyć słów ukochanego, ani jego obietnic, ani groźb które w nich brzmiały.

Ostap tymczasem rachował, bolał, cierpiał i myśl jego była gdzieindziéj, mówił w sobie.

—Ani w jéj, ani w mojém sercu nie zgasło to uczucie, które zwykle młodość rozpala, a lata gaszą powolnie. Przeżyliśmy nadzieję zapomnienia się wzajemnego. Oboje nie jesteśmy je-

szcze tak swobodni, tak obojętni, żebyśmy się zbliżyć mogli bez wzdrygnienia, bez niebezpieczeństwa... Alfred aż nadto wyraźnie powiedział mi sto razy. Uciekł pełen wiary we mnie, nie chcę się splamić, nie chcę go zawieść. Cóż pocznę? oto stanę przed nią winowajcą, stanę takim, żeby mnie kochać nie mogła; ukażę się jéj zdziczałym, zardzewiałym samotnością, obojętnym, niepewnym przeszłości jakbym jéj nigdy nie rozumiał; ukażę się jéj szczęśliwym, przyjadę do niéj mężem pięknéj Jaryny. Ona mną pogardzi, litować się będzie, kochać nie potrafi, porówna mnie z Alfredem i serce jéj skłoni się ku oddalonemu.

Zimny ten rachunek gwałtownéj namiętności która wrzała dotąd w sercu jego, był najwyższego poświęcenia się znamieniem. Prawdziwie tylko wielka dusza do takiéj ofiary była zdolna, do ofiary, która już sobą całe obejmowała życie. Umrzeć dla kogo w chwili podniesionego wysoko uczucia, daleko łatwiéj, niż poświęcić mu z rozmysłem wszystkie dni swoje do ostatka, dni tęskne, czarne, ciężkie, nieprzebyte. Potrzeba mu było poniżyć się tém poświęceniem w oczach jedynie ukochanéj; a resztę pozostałych lat spędzić z Jaryną któréj

nie kochał, dla której czuł tylko chłodną litość, a brał na siebie obowiązek uszczęśliwić ją. Myślał wprawdzie, że szczęście prostej kobiety niewiele wymagać będzie—niezależności trochę, swobody i dobrego mienia, a czasem pieszczonego słowa.

Na dwie części rozdzielała się ta wielka ofiara sięgająca aż do grobu. Odtąd ani spoczynku, ani wytchnienia, ani łzy pożądać mu nie było wolno; powinien był cierpieć, udawać szczęście i z wesołą twarzą płonąć na stosie własną nałożonym ręką.

Po przestanku milczenia, odezwał się do Jaryny która, sama nie wiedząc czego, płakała: Dopóki ja nie powrócę, ty tu zostaniesz na chutorze moim, będziesz mi gospodarzyć i czekać tu na mnie.

—Tu? spytała z trochę weselszym uśmiechem, o! to przynajmniej dobrze—Ale na cóż wam jechać?

—Potrzeba, potrzeba konieczna, o to nie pytaj.

Dziewczyna ruszyła ramionami.

—Jutro—dodał Ostap—przyjdę po ciebie do ojca i matki.

— A! i do pana! cicho rzekła wieśniaczka— wszak bez pana nic nie będzie, jestem jedynaczką u ojca.

— Prawda! tu nawet może być trudność.

— O! i ja tak myślę! Kilka już razy do drugiéj wsi mnie chcieli, dawniéj jeszcze, póki ja was nie znałam. Rodzice byliby wydali, bo się taki dobrze trafiało, ale pan nie pozwolił.

— Czemu?

— Boby taki robotnika stracił ze wsi — odpowiedziała Jaryna — a nasz pan wielki gospodarz?

Noc nadchodziła szybko, i dziewczę opatrzywszy się nareście, że jéj w chacie niespokojnie czekać będą — porwała się z kamienia i pożegnała Ostapa, pobiegła, niedowierzając jeszcze temu co słyszała, co niosła z sobą do chaty. Ostap pozostał w miejscu, korzystając z ostatnich może w życiu jeśli nie szczęśliwych, to swobodnych godzin, w których mógł być sam z sobą, w zamyśleniu i z nierozwaloną jeszcze w gruzy przeszłością.

Nazajutrz rano potrzeba się było wybierać do rodziców Jaryny i do dworu, gdyż wyjazd

do Skały gdzie nań oczekiwała żona Alfreda naglił, a przed wyborem w tę podróż, Ostap musiał i postanowił być żonatym. Powiedział sobie, że stanie przed Michaliną i odzierając się z wszelkiego jaki dla niej mógł mieć uroku, dobrowolnie, chciał żeby nawet podobieństwo nie zostało dawnemu uczuciu odżyć w nowych stosunkach.

Trzeba więc było śpieszyć, bo interessa Alfreda, opuszczona żona i dziecię, otoczone tylko nieprzyjaciołmi, prędkiego prosiły ratunku.

Ze dniem więc wczesnym wsiadł na mierzyna swego Ostap i podolskiemi parowy i łanami zielonemi pobiegł do wsi, do rodziców Jaryny.

Zastał ich oboje u wrót chaty, bo stary Kuźma dopiero się na pole wybierał, dłubiąc cós koło wozu; żona podawała mu torbę z chlebem i słoniną, i flaszę z wodą; córka stała we drzwiach chaty.

Kuźma był podżyłym już człowiekiem, lat blizko piećdziesięciu, barczysty, wzrostu słusznego, opalonej twarzy, czarnego podgolonego włosa; spuścisty wąs nadawał mu poważną minę. Znać było że życie zeszło mu w pra-

cy, bo i ręce namulane i twarz ogorzała a zmarszczkami poorana, dowodziły tego. Łagodny, pokorny, nie daleko przeglądający się w przyszłości, rad był swojemu życiu, nie wiele żądając od losu, byleby mu na polu urodziło, w oborze nie chorowało i na jarmarku się powiodło. Dzień od dnia ciągnął sobie życie, nie myśląc o niém, nie bardzo łamiąc głowę nad jutrem i szukając zawsze sposobu upatrzenia sobie czegoś dobrego, nawet w tém, co dla niego było przykre i gorzkie.

Żonę, dobrą także kobiecinę, ale ruchawą, niespokojną i do zbytku kłopoczącą się wszystkiem, zawsze strofował za te frasunki bez powodu, za lamenta nad każdém zabraném przez jastrzębia kurczęciem, za strachy przedwczesne i niepotrzebne. Ile razy Kulina poczęła rozwodzić przed nim żale, odpowiadał swoją piosenką zwyczajną:

— A Pan Bóg?

Kulina były suchą kobieciną z żywémi bardzo oczyma, roztropném wejrzeniem; ale twarz jéj nosiła ślady schorowania i skłopotania, cerę miała wyżółkłą, usta zbladłe, i często kaszel przerywał jéj mowę.

Ostap zbliżył się do nich, a jak tylko go ujrzeli, otoczyli go radośnie witając każdy po swojemu. Kuźma uśmiechnął się szeroko, wołając — Bóg zapłać! przecieżeście o nas pamiętali! — A Kulina bijąc się po głowie dodała: — Właśnie nie mamy go czém tak przyjąć jak potrzeba, i jakby się chciało. To zawsze nieszczęście!

— No! bat'ku, rzekł poważnie zdejmując czapkę, Bondarczuk, — służyłem ja wam jak mogłem, a teraz do was z prośbą przyszedłem, nie odmówcież mi nawzajem.

Stara uderzyła się po twarzy. — Nieszczęście! czego to on zażąda. Kuźma odkrył także podłysiałą głowę i trąc w ręku barani swój kołpak, odezwał się.

— Nie godzi się tak mówić—co każecie to zrobimy, albo to my tacy ludzie, żeby nas potrzeba jeszcze prosić?

— Posłuchajcie, słowo jedno i o wszystkiem wiedzieć będziecie. Ja już starych naszych obyczajów zapomniałem i nie mam komu jak Bóg przykazał przyjść do was o to prosić, czego od was chcę; przyszedłem więc sam i zgołemi rękoma, darujcie, choć to nie o mało co

chodzi. Ja kocham waszę Jarynę, i proszę o nią u was za żonę.

Kuźma aż czapkę z rąk wypuścił, a stara plasnęła w dłonie obracając się ku córce.

— Ej! czyż to prawda! zawołali oboje; a dziewczyna ukryła się za uszak chaty.

— Jużciż z taką rzeczą żartować się nie godzi, rzekł poważnie przybyły — pomiarkujcie, pomyślcie, ludzi się poradźcie, a co wam Bóg natchnie, odpowiedźcie. Powiém wam szczérze, że mi z tych stron odjechać potrzeba na pół roku; może na rok cały, nie wiém. Przed wyjazdem chcę się ożenić, oddam wam mój chutor i będziecie sobie na nim tymczasem gospodarowali.

— I żenicie się i jedziecie zaraz! — spytał Kuźma coraz bardziéj zdziwiony.

— Nieszczęście! — mruczała stara Kulina — ot tak zaraz i porzuci nieboraczkę.

— Muszę odjechać; pomyślcie no i pomiarkujcie co mi odpowiecie.

— Jużciż co tu myśleć, albo co tu darmo udawać! — rzekł gospodarz patrząc na żonę, która w pół z radości, w pół z zakłopotania płakała — chybaby szalony mógł wam odmó-

wić; a toć to szczęście o jakiem się nam i na Wielkanoc nie śniło!

I poczęli zbliżywszy się ściskać go i całować.

— Więc mogę mieć nadzieję, że mi nie odmówicie?

— Chowaj Boże! Jak tylko Jaryna zechce, rzekła matka, to ją sobie bierzcie w imie Boże i pobłogosławim. Tylko jak tu sobie dam radę z weselem! szeptała cicho.

— Ona rozumna i posłuszna dziewczyna,— przerwał ojciec—ja o niej ani wątpie. Juściż nikt nie odrzuca dobrego, kiedy mu się samo stręczy.

W tej chwili Jaryna ukazała się na progu.

— Ej! chodź no tu doniu, zawołał Kuźma, chodź no tu a powiedz — Ale co to i pytać! Spójrzał ojciec na córkę i dodał spluwając.

— Albo to ona nie wie o co chodzi! oj! oj! niedarmo chodziła krówki doić na chutor do was!

I pogroził palcem obojgu.

— Na Boga, nie myślcież no nic złego ojcze, przerwał Bondarczuk surowo—nie myślcie,

Wasza córka o niczémby nie wiedziała do dziś dnia, gdybym jéj sam dopiero wczoraj nie powiedział, a do ołtarza, pójdzie z wiankiem i wstążką krasną bez sromu.

—No! to i za to chwalić Pana Boga! rzekł stary—bo żeby jak się to dobrze kończyło, a taki zawsze markotnoby było, żeby się kiepsko zaczynało, a ludzieby palcami pokazywali. A nu Jaryno, mówże, albo cię—

—A co ja mam mówić? —I obróciła się trochę do ściany spoglądając z pod oka. A matka dodała:

—Gadajbo! nieszczęście udaje małe dziecko!

—Ot wam szczęście się trafia, mówił ojciec, dobrzy ludzie o was proszą, juściż nie głupia odmówić?

—Jak każecie tak będzie, szepnęła po cichu.

—Dobrze powiedziała, dobrze! zawołali rodzice oboje.

—Ale my tu radzim i swadzim, a o najpilniejszém nie pomyśleli—rzekł Kuźma chwytając się za głowę.

—Nieszczęście! mruczała Kulina wedle zwyczaju.

— O czémże? spytał Ostap.

— Ba! a toć Pan we dworze o niczém nie wie jeszcze?

— Jużciż nie zabroni?

— Bóg to wie! smutnie odezwał się Kuźma, i Kulina dodała:

— Oj! nieszczęście! już ja wiem, że to będzie nieszczęście!

— To moja rzecz, rzekł szybko Ostap, kiedy tylko wasze mam słowo, pojadę po resztę do dworu.

I przybierał się już wsiąść na koń, ale to tak spieszne zaswatanie, bez swatów, bez kieliszków, bez zwykłych swadźby obrzędów jakoś nie w smak poszło staremu Kuźmie, który wszystkie stare zwyczaje bardzo przywykł szanować i wesela bez tych odwiecznych jego ceremonij nie pojmował.

— E! poczekajcie no, rzekł wstrzymując Ostapa, a cóż bo tak się spieszycie? we dworze, zwyczajnie jak we dworze, śpią jeszcze na drugi bok; a i my tak rozejść się nie możemy, bez zapoin, bez sąsiadów, bez wszystkiego.

— Obejdziemy się, smutnie odpowiedział poglądając na Jarynę Ostap, słowo daliśmy sobie i dosyć, a wam ojcze coście się do pługa wzięli, to by i na pole nie od rzeczy.

— Wy bo myślicie, że to już ja tak z pilnéj potrzeby myślałem z pługiem na pole; parobek że jest, poganiacz jest, choć oba najęci, bo mnie P. Bóg swojego chłopca nie dał. Mogliby oni pójść z pługiem i chudoby nie zamęczą, popasą w porę, to wiem, ale człowiekowi w domu z założonemi rękoma siedzieć markotno. Ot, pomyślałem sobie, jakoś to weselej będzie wyjść w pole, i powoli za wolikami pochodzić, a popatrzyć, jak też to się śliczna ziemia kraje i odwraca gładko, jak to się ptaszęta Bóg wie zkąd zlatują do skiby po robaczki, jak to tam w polu i na niebie. Mnie nie żaden mus do roboty, jest komu pójść za mnie, ale tak jak drugi co to woli do góry brzuchem leżeć, nie lubię — Człowiek przy robocie poczciwieje i jakoś mu w sercu spokojnie. Więc na dziś poślę chłopaków, a zapoiny zrobim. Toćby nam i wstyd było, bez ludzi, bez sąsiadów, pokryjomu tak robić. I taki się nie godzi, poczekajcie, taki ja wam swatów dobiorę uczciwych i musimy zapić.

— Koniecznie?

— A koniecznie! rzekł stary z uporem. Co to my żebraki czy co, co się pod płotem swatają! E! taki potrzeba po ludzku i nie żałując.

— Ja pewnie nie pożałuję, kochany Kuźmo, ale widzicie ja od tych zwyczajów już odrosłem, i mnie pilno, bo droga za pasem.

— Alboż to opóźni? rzekł stary i poskrobał się w głowę nic nie rozumiejąc wyjazdu; lecz powiedziawszy sobie, że widać już i nie powinien był rozumieć tego, ruszył się za swatami, za wódką i za całym obrzędem dziewosłębów. Dzięki miłości jaką Bondarczuk miał u ludzi, i ciekawości którą wzbudzało to niespodziane ożenienie jego, zebrali się rychło potrzebni i niepotrzebni, i z wielką pociechą starego Kuźmy, odbyło się wszystko wedle odwiecznego rytuału. Nawet Jaryna której z oczów radość patrzała i duma, udawała nieźle i smutek i opór. Tego po niej wymagał zwyczaj; zwyczaj zbudowany na prawidłach, który przy każdym wyjątku tak dziwnym i uciążliwym się zdaje!

Nareszcie około południa, rzucając wszyst-

kich w chacie Kuźmy podweselonych i szczęśliwych, a Kulinę mocno zakłopotaną z powodu srokatej kury, którą zabić wypadło; Ostap ubrany dość wytwornie i już nie po chłopsku, gdyż miał zawsze suknie drugiego swego stanu przygotowane na przypadek potrzeby, niepodobny do siebie i wedle Kuliny, wyglądający jak JW. graf, skierował się ku dworowi.

W istocie spójrzawszy na Ostapa, nikt by go o pochodzenie z gminu nie posądził, tak długie życie w innej strefie towarzyskiej wykształciło jego powierzchowność, a uprawa umysłowa, wybitnie piętnowała się w szlachetnych rysach jego twarzy. Przy męzkiem obliczu, przy wielkiej sile i odwadze, wielka też dobroć serca malowała się na pogodnem jego czole i w oczach niebieskich. Chód, ruch, obejście nie miały w sobie tej nieśmiałości jaką daje zwykle wygórowana miłość własna, obawiająca się upokorzenia na każdym kroku. Śmiały był, bo wszystko przewidział i wszystko znieść był gotów.

Przenieśmy się teraz do tego dworu ku któremu zmierzał, i zajrzmy we wnętrze jego.

Na pagórku, u stawu w gęstych zielonych

drzewach, stał pałac; gdyż dom o piętrze, otoczony podobieństwem ogrodu angielskiego, zwykle się u nas zowie pałacem. Z dwóch stron jego, jak dwa ramiona wychodziły dwie żółte ukolumnowane jak sam pałac, oficyny. U wejścia w podwórze, podnosiła się ogromna monumentalna brama z latarniami, z budką dla odźwiernego i złoconemi główkami żelaznych sztachet. Nad nią zwieszała się z jednéj strony brzoza, z drugiéj szumiała czarna jodła.

W pośrodku, między oficynami, pałacem a bramą, rozściełał się zielony, strzyżony starannie trawnik; a parafiański kompas marmurowy, z iglicą bronzową, pokryty kapturkiem blaszanym, nie wiem czemu, wygrzéwał się na słońcu czekając na próżno, żeby kto przyszedł do niego z zapytaniem o godzinę. Największy porządek i czystość widać było wszędzie; ale porządek i czystość otrzymane wielkiemi wysiłki i posunione aż do przesady. Scieżki wiodące do pałacu umiecione były z pyłu nawet, dalsze pozagrabiane w różne wymyślne desenie; w ganku kilku milczących sług stali jak na straży w granatowych frakach i żółtych kamizelkach.

Panem tej wsi, kilku innych, pałacu, oficyn i ogrodu był jeden z tych licznych dziś u nas dorobkowiczów, którzy mają wszystkie wady dawnej arystokracyi przesadzone jeszcze, a nie posiadają żadnego z jej wielkich przymiotów. Ojciec pana Suzdalskiego był synem ekonoma; sam zajmował się interessami panów i wyszedł na pana, zostawując synowi dwa klucze, pół miljona kapitału i stosunki! Ożenił się bowiem, chociaż syn ekonoma, z hrabianką P. z którą familija nie wiedziała co zrobić z powodu jakiegoś młodociannego przypadku, niepotrzebnie rozgłoszonego.

Urodzony z hrabianki dzisiejszy dziedzic Kalinowiec, Myszkowiec i Tarnogóry, już się liczył do arystokracyi miejscowej, popisywał z herbami i wzdychał najszczerzej nad upadkiem dzisiejszym tej klassy, do której jak sądził, miał prawo się rachować. Ożenił się z majętną panienką równie wysoko o swojem państwie rozumiejącą, chociaż dziad jej był także tylko plenipotentem, i swobodnie pędził żywot błogi, gospodarując zapalczywie, gospodarując *de race*, drobnostkowie, pracowicie, a co więcej skutecznie. Wszystkie pozory pańskości zachowywał najściślej, i nigdy pewnie

nie myślał tyle o katechizmie co o prawidłach rodzaju życia jaki prowadził; ale po za tą zasłoną kryło się w nim skępstwo, chciwość, bojaźń utraty majątku i żądza gorąca powiększania go jeszcze.

Pan Adolf Suzdalski starzał się powoli w tym ciągłym utrapionym boju, walcząc z chętką pokazania się i nastawienia, a strachem nadwerężenia fortuny. Z jednej strony zmuszony tracić, z drugiej usilnie się zaraz sztukował; połowę godzin poświęcał *panowaniu*, puszeniu się i wygrywaniu roli przyjętej, drugą oddawał rachunkom, wzieraniu w drobnostki i spekulacye przemysłowo-gospodarskie.

W czasie naszéj powieści, pan Adolf miał już czterdzieści lat z górą, żonę trochę od siebie młodszą, syna w Berlinie, i córkę z guwernantką w domu. Cztery razy do roku, na imieniny swoje i żony, na zapusty i Nowy Rok przyjmował u siebie pierwsze towarzystwa i występował po pańsku, co się nazywało w jego języku—*od ananasów;* resztę czasu gospodarował, jeździł po folwarkach lub odwiedzał sąsiadów, aby im pokazać wytworny ekwipaż, konie prześliczne i liberyę co ro-

ku wymyślniejszą, której najwyższym stopniem były, tak zwane fraki, *od akselbantów*.

Jako człowiek, pan Suzdalski złym nie był, nie był dobrym, miał nawet chwile poruszeń szlachetnych i poczciwych, ale wszystko w nim psuły dwa popędy gwałtowne, z sobą sprzeczne, jeden ku pańskości, drugi ku skępstwu a więcej może chciwości.

Żona jego była o tyle szczęśliwą o ile nią zwać się może kobieta, której na niczém nie zbywa, (zwłaszcza przy gościach nawet na czułości mężowskiej, także od wielkiej gali występującej na plac). Która ma troszeczkę swojej woli a pozornie zupełną swobodę; której mąż rączki całując i pieszcząc nie kocha przecie, ale też i nie bije.

Dzieci, kochał P. Suzdalski bardzo czule, także najwięcej dla oka ludzkiego, bo był przekonany, że serce czułe, oznaka wykształcenia, należało do dobrego tonu jak drażliwe nerwy; wychowywał je wspaniale, także iżby wszyscy wiedzieli, że niczego dla nich nie żałuje. W sercu jego nie było wielkiego przywiązania ani do żony, ani do dzieci, ani do nikogo, i nie był temu winien, bo go tak Bóg

stworzył a okoliczności uczyniły zimnym i twardym. Miał przecie, jakeśmy powiedzieli, czasem poruszenia dobre choć rzadko, i jak na zimne stworzenie nie dopuszczał się ostateczności, do których mógłby dojść inny z jego charakterem; broniło go postrzeganie ścisłe przyzwoitości. To Bóstwo ludzi świata naszego, stało przed nim na straży ustawicznie; na ustach miał ciągle pytanie: *Czy to przyzwoicie?* w myśli rozważał bez ustanku *przyzwoitości i nieprzyzwoitości;* a nigdy głębiej nie zajrzał i nie spytał siebie: *Czy to godziwa rzecz lub niegodziwa?* Z tych kilku słów łatwo zmiarkujecie jakim był człowiekiem pan Suzdalski.

Dwa czy trzy razy wprzódy, Ostap miał zręczność zbliżyć się do niego; wieść o jego lekach daleko się rozeszła; oryginalny pozór, mieszkanie ustronne, obyczaje pustelnicze, obudzały ciekawość i wystrychnęły go w oczach tłumu na jednego z tych lekarzy cudownych, którzy we wszystkich krajach gmin ku sobie pociągają. Często z pańskich domów przysyłano po niego, a raz i P. Suzdalski do chorej wezwał go córki; ale Ostap który w tej chwili siedział u łoża ubogiej kobiety, matki siedmior-

ga dzieci, odpowiedział słudze:— Możecie poczekać, lub po innego posłać doktora; pan, znajdzie ich wielu gdy zażąda, ubogi ma mnie jednego. Jego córka potrzebna zapewne i światu i rodzicom, ale potrzebniejsza matka sierotom.

Odpowiedzi téj zuchwałéj, nikt nie śmiał powtórzyć panu Suzdalskiemu, który pomimo to, z powodu nieprzybycia już się oburzył i piorunował na szarletana, któremu łaskę zrobił że go wezwał. Tymczasem Ostap upewniwszy się o swoję chorą, sam pieszo przyszedł do Kalinowiec; to rozstroiło ojca i matkę, a gdy się wyleczenie mało co cierpiącéj córki powiodło, po pańsku nagrodzić go chcieli, ale pieniędzy nie przyjął.

— Nie potrzebuję, rzekł panu Suzdalskiemu, jeśli mi czego zabraknie w domu, przyszlę do pana.

To niezwykłe obejście, wszelkim przyzwoitościom przeciwne, nikogo bardziéj zdziwić i przejąć nie mogło nad pana Suzdalskiego, czciciela przyzwoitości i formy. Opowiadał o tém széroko, zdumiewał się i ostatecznie tłómaczył to sobie po swojemu, oryginalnością przy-

braną w celu zrobienia sławy. Ale gdy po dwóch leciech Ostap pozostał w cichym zakącie jak był; P. Suzdalski nie wahał się ogłosić go rodzajem waryata. Wezwano go przecie raz drugi do samej pani, potém znowu do pana, ktory chorował na wątrobę ile razy nie tak mu się powiodła spekulacya jak ją sobie osnuł. Ostap był w Kalinowcach kilka razy, zawsze darmo, zawsze dość sobie hardo postępując i coraz mniéj zrozumiany od tych ludzi, którzy mu przecież pewnego szacunku odmówić nie mogli. Tajemniczość jaka go osłaniała, różnie o nim domyślać się dawała prawo.

Nie bez nadziei więc, szedł Bondarczuk do dworu, chociaż i nie bez obawy zawodu. U wrót zaraz, wskazano mu, że JW. pan znajdował się w oficynie na sobotniej sessyi ekonomicznéj. Tam się więc za nim skierował Ostap i w przedpokoju postanowił czekać końca narady tak ważnéj. Znano go w okolicy, mało kto od niego nie doznał jakiego ratunku, wszyscy go kochali; a posądzając o znachorstwo, wszyscy się też go obawiali potroszę. Chciano zaraz dać znać panu że przyszedł, ale Ostap nie dozwolił na to; ses-

sya wkrótce się skończyła i Jaśnie Wielmożny wytoczył.

Była to postać dosyć *przyzwoita:* nie piękny, nie brzydki, nie mały, nie słuszny, nie bijący niczém w oczy, chyba może zamyśloną chmurną miną, która pańską być miała; pan Adolf Suzdalski w ogólności podobniejszy był do swego plenipotenta niż do siebie. Ubrany przyzwoicie ze ścisłem zachowaniem przepisów mody, pory roku i dnia, trochę podłysiały, szczupły ale krzepki, blady, z fizjognomią zwyczajną, zmęczoną i niesympatyczną, z wargą dolną oddętą, przypominał aktora małej trupy, odegrywającego rolę orderowego pana. Zobaczywszy Ostapa, przyjął go dosyć grzecznie ale z nieukrywaném podziwieniem, które go ogarnęło na widok tak niespodziewanego gościa. Gdy jeszcze lekarz witając go szepnął, że chce się widzieć z panem prezesem (tak go pospolicie tytułowano) na osobności, Suzdalski zmięszany, chociaż zawsze pan siebie, zaprosił go nie do pałacu, ale do izby, w której przed chwilą odbywała się sessya ekonomiczna.

Zasępione oblicze zdradzało wewnętrzny niepokój Jaśnie Wielmożnego, który poczynał

obrachowywać w myśli ile za wszystkie nieopłacone wizyty lekarz żądać może, i wiele mu dać wypadnie dla utrzymania przyzwoitego tonu, i jak to niewygodnie płacić razem wszystko.

Pierwsze wyrazy Ostapa potwierdziły gospodarza w tém fałszywém mniemaniu; Bondarczuk bowiem począł skwapliwie od wyrazów:

— Służyłem panu gdym mógł, teraz ja mam do pana prośbę.

— Z całego serca panie, uczynię jéj zadosyć; cóż pan każe?

Co pan każe? wymówione było z widocznym strachem i niepokojem.

— Z dziwną przyszedłem prośbą.

— Z dziwną? pan powiada, przyznam się, że sądziłem...

Ostap nie dał domówić i przerwał.

— Proszę mnie nie posądzać, żem przyszedł dopominać się o dawniej mi ofiarowane i odrzucone nagrody za kilka chwil poświęconych państwu — nie — nie — nie o pieniądze tu idzie.

— Nie o pieniądze! chwała Bogu pomyślał

P. Suzdalski ośmielając się — Ale o cóś dziwnego? cóż to być może?

— Niech pan usiądzie i pozwoli mi usiąść również; kawał drogi zrobiłem pieszo, i jestem zmordowany. Powiem panu szczerze i otwarcie, kto jestem i czego chcę.

Nowy postrach wyraził się na twarzy siadającego pana; dziwna myśl przepłynęła mu przez głowę, otarł się chustką i wzdychając zamilkł przyzwoicie, z pozorem rezygnacyi. Ostap krótko opowiedział mu treść swojego życia. Na wiadomość że mówił z chłopem, z prostym chłopem, że chłop dotykał ręki jego córki, żony; — porwał się z krzesła Suzdalski, zaczerwienił ale trzymając się w granicachprzyzwoitości, nic nie powiedział nieprzyzwoitego.

Ostap widząc to wrażenie, nie zdawał się na nie uważać i mówił dalej nie wstając.

— Dla niezależności w społeczeństwie, pozyskałem uwolnienie od poddaństwa i dosłużyłem się będąc lekarzem wojskowym tego, co panowie nazywacie szlachectwem.

Na wyraz — dosłużyłem się szlachectwa! — uśmiechnął się nieznacznie pan; ruszył ramionami, ale śmiech swój starał się schować co

najprędzéj i pokrywając go potrzebą wmięszania się w opowiadanie, spytał:

— Ale w czémże ja panu tu pomocnym być mogę?

— Rzecz dla pana mała. Chcę się żenić z jedną z poddanek pańskich; chodzi o uwolnienie jéj, o pozwolenie pańskie.

Suzdalski na chwilę ogłupiał nie pojmując żeby człowiek, który się dźwignął z wieśniaczego stanu, chciał znowu do niego się zbliżać i na nowo bratać.

— Jakto? doprawdy? spytał.

— Tak jest, odparł Ostap, a że to panu może wedle dzisiejszych i zwyczajów i rachunków i wyobrażeń robić szkodę gdy mu wezmę jego poddankę, zatém przyszedłem go prosić, żebyś, jeśli się panu zdawać będzie, obrachowawszy ubytki, przyjął odemnie wynagrodzenie za nią i za jéj rodzinę, którą żądam wykupić.

Dziedzic tak zagadnięty, gdy się spodziewał że Ostap odezwie, się do dawnych swych posług, był w dziwnem zakłopotaniu: z jednéj strony państwo szeptało do ucha, z drugiéj chciwość, z trzeciéj odzywała się duma, a najciszéj ale cóś przecie gadało i pokorne sumienie.

— Jakto panie? spytał Suzdalski, pan by mnie chciał zapłacić za nich?

— Jeśli pan tego zażąda—rzekł Ostap.

— Ale cóż to jest za dziewczyna? spytał dziedzic z ciekawością.

— Jaryna, córka Kuźmy z Myszkowiec.

— Jaryna Kuźmianka! a wiém! rzekł pan, a wiém, to najpiękniejsza podobno we wsi dziewczyna. Niezły wybór! ale tam do tej chaty potrzebaby koniecznie pryjmaka, bo chata upadnie.

— Więc w razie gdyby upadła, ofiaruję stratę wynagrodzić, bo oczewiście upadnie.

— Ale zaczął Suzdalski, zapominając o państwie, to są nieporachowane rzeczy. Po trzy dni męzkiej pańszczyzny licząc, że inne obowiązki pominę, już mamy sto kilkadziesiąt dni, rachując gdyby po złotemu tylko najmniej...

— Ziemia panu zostaje.

Pan prezes zawstydził się trochę, zamyślił, zafrasował, i już miał odpowiedzieć po pańsku, gdy mu na myśl przyszło że w Myszkowcach rąk bardzo mało i zawołał naiwnie.— Co to, jedna chata w Myszkowcach, to strach!

— Wszystko się da porachować, probujmy, przerwał Ostap. Pan się znowu powstydził.

— Ale odezwał się z uśmiechem wyrobionym pracowicie, czyż to panu tak koniecznie żenić się z włościanką?

— Niech pan będzie łaskaw, i o nic nie pyta; co to szkodzi komu, że sobie kupię żonę? Proszę pana prezesa o warunki.

— Więc pan byś zapłacił?

— Tak dalece gotów jestem, że mam przy sobie pieniądze.

— Ale toby niemało wypadło! rzekł dziedzic patrząc Ostapowi w oczy.

— Jestem gotów na niemało.

— Hm! hm! ależ się pan pokochał!

Ostap westchnął boleśnie; a panu się zdało, że zgadł w istocie, ruszył ramionami i pomyślał sobie: ot tobym go pociągnął, gdybym sumienia nie miał! Ale nie, nie, toby było nieprzyzwoicie! Choć to chłop, ale zawsze nie wypada; nie brał odemnie nic za recepty.

Zawahał się znowu i chciwość poddała pytanie.

— No i cóż byś pan naprzykład gotów dać kunicy i za tych tam ludzi?

— Co pan każesz?

— A tak, żeby rubli z tysiąc, hę?

I rozśmiał się znów patrząc w oczy Ostapowi.

— Ja myślałem, że pan powiesz najmniej dwa lub trzy tysiące, rozumie się uwalniając rodziców mojej Jaryny, rzekł Bondarczuk— i byłem gotów?

— Co? dać trzy tysiące rubli zą nich! krzyknął łamiąc ręce pan prezes.

— I nie byłoby drogo, mówił zimno Ostap; wszak płacim za konia araba po kilka tysięcy dukatów, czemużby podolska dziewczyna, przynajmniej tysiąc nie miała być warta?

— Jakto? zdumiony coraz bardziej a chciwy choć hamujący się przerwał pan Suzdalski; pan nawet masz z sobą gotowe pieniądze?

— Oto one są, rzekł dobywając assygnat z paczka Ostap, i poczynając je liczyć; widzi pan płacę natychmiast, a pan prezes także niezwlekając da im wszystkim uwolnienie; nie prawdaż?

Na widok pieniędzy wielki był frasunek dziedzica: wziąść za człowieka opłatę, jakoś

wstyd okrutny i nieprzyzwoitość straszna; nie wziąść, a stracić ludzi, bolesny uszczerbek w majątku; odepchnąć proszącego nie wypadało mając dla niego pewne obowiązki. Cóż tu było począć?

Jeszcze, gdyby tak wedle zwyczaju przedawała się ziemia osiadła, byłoby to wcale co innego; nie sprzedaje on naówczas ludzi., ale raczéj zapewniony czynsz ziemi; tu zaś jak bydlęta szacować poddanych i kazać za nich sobie płacić?

— Ale w Myszkowcach ludność tak mała! powtórzył zamyślony prezes.

— Więc tylko droższa!

— Tak, widzi pan, ale ja — sprzedawać ludzi osobno nie mogę, nawet prawo mi nie dozwala.

— Uwolnić ich tylko; prawo tego panu nie broni, owszem ono ku temu zachęca.

— Za pieniądze?

— To zależy od woli.

— A pan by zapłacił? znów, niedowierzając jeszcze dodał dziedzic.

— Nietylkobym zapłacił, ale płacę? wiele? spytał Ostap rachując po raz drugi.

— Ale to być nie może! — ale proszę pana — w istocie, dodał ciszej Suzdalski, strata dla mnie jakkolwiek mała ale dotkliwa, chata choć niesiemienista ale zawsze pańszczyznę, i to nawet ciągłą, odrobi; grunt mi zostaje, ale cóż ja z nim robić będę, gruntu mam do licha! Sprzedać tak ludzi, to śmiech tylko ze mnie będzie.

— Daję panu słowo, że rzecz zostanie tylko między nami. Pan ich uwolnisz, nic więcej.

— A pan byś nikomu nie powiedział nawet, żeś za nich zapłacił.

— Nikomu, nawet im samym, odparł Bondarczuk, bo powiem panu szczerze, nie chciałbym ludzi zawstydzać w oczach ludzi.

Prezes nie zrozumiał słów lekarza i cały w myśli wzięcia pieniędzy, oczów z assygnat nie spuszczał.

— Więc jakżeby to zrobić? dodał cichutko.

— Ja panu płacę w cztery oczy, nikt nie wie, nikt wiedzieć nie będzie. Pan prezes jedzie ze mną do powiatowego miasteczka i zeznajesz dobrowolne uwolnienie całej chaty.

— Trzy dusze.

— Podług państwa tylko jedna, stary Kuźma; dwie kobiece się nie liczą. I tysiąc rubli.

— Mało.

— Półtora? dosyć? nie — dwa? mało? — trzy nareszcie! oddam co mam i kończmy.

Prezes nagle cóś sobie przypomniał zadumał się, zawstydził, pomiarkował i rzekł śmiejąc się, ale ciągle patrząc na assygnaty. Żartowałem! żartowałem!

Odszedł od stolika, powrócił ku niemu, szedł jeszcze, zbliżał się znowu, aż wreszcie zebrawszy się na siły, zawołał, przybierając poważniejsze oblicze.

— Mam dla pana obowiązki; żądasz koniecznie uwolnienia tych ludzi, pieniędzy wziąść od pana nie mogę. No — uwalniam ich — Cóż pan na to?

Sądził że Ostap przynajmniej do nóg mu się rzuci, ale on skłoniwszy głowę, podziękował tylko milczeniem, potém dodał:

— Masz pan mnie obowiązanego sobie na życie całe!

Suzdalski dziwnie usta wykrzywił jakby mówił: tylko! ale już się nie cofnął.

— Wszystkie koszta, rzekł śpiesznie podchwytując — papier, prośby, podatki gruntowe i t. p. to pan naturalnie załatwi.

Wnuk ekonoma, syn plenipotenta przebił się przez kruchą pańską powłokę i zrzekał się większego zysku, a drobnostki upuścić nie potrafił.

— Jutro będę w powiatowém miasteczku, skończymy!

Ostap oddalił się z przykrém w sercu uczuciem wywołaném całą tą sceną; nie mógł potępiać, bo nie było za co, nie mógł przecież nie litować się nad biednym, który więcéj robił dla oka ludzi, niż dla własnego sumienia.

Powracając od Kuźmy, który o swojém i swoich uwolnieniu dowiedział się z radością zmięszaną ze smutkiem, bo swoboda dla niego była rozstaniem ze starą dziadów chatą, z polem, które w pocie czoła uprawiał, ze wszystkiém i wszystkiemi, do których przywykł od dzieciństwa;—Ostap spotkał się z bryką żydowską. Na widok Bondarczuka, siedzący w niéj stary żyd, ubrany po staroświecku w zapinanym na haftki żupanie i kapeluszu z ogromnemi skrzydłami, kazał konie wstrzymać, i z pomocą młódszego wysiadłszy, powitał lekarza z uszanowaniem i łzami prawie. Ostap nie mógł go sobie nawet przypomnieć.

— Co to pan musisz po świecie robić do-

brego, — czysto po polsku rzekł starzec? ile to was ludzi błogosławić musi, kiedy zapominacie nawet o tych, co wam najwięcej winni.

— Dziękuję wam za dobre słowo, ale doprawdy!...

— No! no! ja się nie gniewam, ja się tylko dziwuję. Wolno wam zapomnieć, ale nie nam.

— Zkądże jesteście?

— Zkąd? z Berdyczowa? Jak to pan nie przypominasz sobie Hercyka? Aj! aj! a pamięta pan, przyjechałeś na jarmark na Petra, a mnie mój Icko jedynak, leżał na śmiertelnéj pościeli i doktorowie byli go opuścili. Jakaś poczciwa dusza powiedziała mi: jest tu wielki lekarz co leczy ziołami; i uprosiłem pana, żeś przyszedł, a przyszedłszy siedziałeś dzień i noc, aż mego Icka wyleczyłeś. Pan myśli że to my mogli zapomnieć; a dawaliśmy panu tysiąc rubli, tysiąc karbowanych rubli i pan ich nie wziąłeś od nas! Albo to można zapomnieć.

Ostap się rozśmiał lekko.

— Czego to się pan śmieje! Aj? aj! dalibóg panowie żydów nie znacie? I żyd ma

serce! a że dusi grosze, bo coby on wart był bez nich?

— I cóż tu robisz panie Hercyk? — spytał Ostap.

— Co robię? umyślnie jechałem do jegomości z pokłonem, będąc niedaleko za interesem. Już z łaski pańskiej, Pan Bóg mnie pocieszył i mam od Icka wnucząt dwoje! A i interesa dobrze idą, chciało się z panem zobaczyć, a i podziękować.

— Jedźże do mnie panie Hercyk, ja cię poprowadzę konno, bo inaczejbyś nie trafił może.

— A ze mną pan nie usiądzie? konia możemy przywiązać do moich, jeżeli spokojny.

— I tak dobrze! rzekł Ostap, i usiedli razem.

Naprzód Hercyk mówił o swoich wnukach i o interesach, potém o handlu, potém o polityce trochę, nareszcie, gdy już wysiedli, a Ostap znienacka oznajmił, że ma wyjechać z tych stron, żyd się począł troskliwie pytać, dokąd i dla czego?

— Niepobna było uniknąć tłómaczeń, wreszcie na myśl przyszło Ostapowi, że bogaty Izraelita może mu być pomocnym i otworzył

mu się prawie ze wszystkiém, prosząc o jego radę.

— Hercyk zamknął się na klucz, przepatrywał papiery, regestra, dokumenta, rachunki długów i w godzin kilka zdał Ostapowi sprawę ze stanu majątkowego Alfreda, z taką dokładnością, jak gdyby nad nim przez kilka miesięcy pracował. Ostap się dziwił.

— Co to osobliwego, rzekł żyd — ja na tém zęby zjadłem! Pan myśli: handel, handel. U nas z handlu rodzą się i procesa i interesa i prawa trzeba się nauczyć, i nie jednego pana obrachować i nie z jednym pochodzić po sądach. To mnie nie pierwszyzna.

— Otoż, mówił daléj — spis długów, to taxa majątku; źle stoi wasz pan graf, ale można mu dać radę, a pan ma głowę. Będzie tylko brakować pieniędzy; no — grafowi bym nie dał jak na wielki procent i na dobrą ewikcyę; a lepanu dam oblig Halperyna, który nawet mam przy sobie, a procent taki mi zapłacisz jak będzie można. Niech pan się nie straszy!

— Ale zmiłuj się, zawołał Ostap.

— Kiedy ja się nie straszę? czego pan się lęka? ja panu daję bo wiem, że byłeś pan pie-

niądze pokazał, to kredytorowie ich nie zechcą i prosić będą żebyście zatrzymali. Zyskasz pan czas, a czas to wszystko; daj mnie pan sto lat jeszcze, a ja Berdyczow kupię na dziedzictwo. No! a jeśliby te pieniądze się rozeszły, czy to już nie znajdziecie czém oddać? ja będę cierpliwy i nie wezmę od pana tylko prosty kwitek. Już ja widzę po rachunkach, po tytule tego pana co on za jeden: u takich panów nim fortunę stracą, zbierze się gratów dosyć, a to srebro, a to różne terefele, co pieniądze kosztują i choćby od siebie rzucać, coś warto. Sprzedaj pan to wszystko; jak mają licytować wierzyciele, nie lepiéj-że samemu spieniężyć co się na nic nie zdało i bez procentu leży?

Bondarczuk się zamyślił, żyd począł nalegać i nim wieczór nadszedł, zostawiwszy prawie gwałtem wexel, notatkę, ukłoniwszy się nizko, umknął z chutoru.

Ta niespodziana pomoc, stawiała Ostapa w możności ratowania interesów hrabiego skuteczniéj, niżeliby mógł o swych własnych tylko siłach.

Gdy wszystko przygotowaném było do wesela, uwolnienie Kuźmów podpisane przez

pana Suzdalskiego, zapowiedzie ogłoszone, Ostap uprosił księdza żeby ze ślubem do niedzieli nie czekał; chciał bowiem wyjechać jak najśpieszniej i wcześnie na chutorze osadziwszy rodziców Jaryny, wstrzymywał się tylko, żeby wyjechać — żonatym.

Jaryna w tym pośpiechu widziała chwilami przywiązanie i uśmiechała się szczęśliwa do narzeczonego, to znowu przeczuciem jakiemś zgadując, że w sercu jego nic dla niej nie biło, zasępiała się rozpaczą, wątpiła. Ale pojąć nie mogąc jakiby powód skłonił go do ożenienia bez przywiązania, częściej przypuszczać musiała, że ją kochał. Dręczące było położenie Ostapa, któremu ładne dziewcze podolskie, podobne do krasnego bodiaka co wykwita na bujnych łanach, czepiało się z uczuciem na szyi; goniło za nim, wywoływało z ust jego wyznania trudne, niepodobne; wyzywało dowodów przywiązania nie istniejącego. Odepchnąć jej nie miał siły, odwagi; dobrowolnie skazawszy się położeniem swem na kłamstwo, udawać nie umiał; to też gdy Jaryna goniła za nim po dziecinnemu, wesoła, chcąc go widzieć wesołym, szczęśliwa

szczęśliwym, mieszał się i stawał jakby obłąkanym.

Przed samym ślubem, niepokoj Ostapa powiększył się stokrotnie; bo mając stanąć u ołtarza coraz surowiej rozważał postępowanie swoje, wątpiąc o potrzebie tego co czynił; — ale już cofać się nie czas było.

Poważny obrzęd ślubowin odbył się w Myszkowieckiej cerkwi przy tłumie ciekawych, i państwo młodzi na prostym wozie, w czwał pojechali na Bondarczukowy chutor. Tu także ciżba się ludu zebrała; ciekawi, przyjaźni, wdzięczni i próżnujący, przyszli wszyscy, przynosząc Ostapowi albo podarek wedle dawnego zwyczaju, albo dobre i szczere szczęścia życzenie. Wszystkich potrzeba było przyjąć, ugościć, więcej słowem niż chlebem; już wieczor nadchodził i wszystko do podróży przygotowaném było, a Ostap wyrwać się nie mógł gościom. Oczy Jaryny chodziły za nim ogniste, pilne, niespokojne, jakby przeczuwały ucieczkę.

Opoźniony swém ożenieniem Bondarczuk, musiał pośpieszać do Skały; wziął starego Kuźmę na stronę, i choć ten był już trochę podpiły, począł go żegnając, tłómaczyć mu jak mógł

swój wyjazd. Stary słuchał, słuchał i nie rozumiał dla czego tak śpieszono z weselem, kiedy pan młody nie pożywszy z żoną i dwóch dni, ledwie od stołu wstawszy, jakby go co w szyję pędziło, uciekał. Ani on, ani stara Kulina, powtarzająca po cichu — Nieszczęście! pojąć tego nie potrafili, ruszali ramionami i gniewali się prawie.

— Ale to być inaczéj nie może, rzekł Ostap surowiéj, mówiłem wam o tém wprzódy jeszcze. Ja jechać muszę — wy mieszkajcie tu z Jaryną i pilnujcie mojego i waszego dobra — ja powrócę.

— I cóż, myślicie taki jechać doprawdy, niedoczekawszy jutra — nie . . . .

— Koń gotowy.

— I nie pożegnawszy się z żoną? spytał stary potrząsając głową.

— Nieszczęście! łamiąc ręce powtarzała stara.

— Wywołajcież Jarynę — rzekł Ostap.

Wśród zgiełku, niepostrzeżona, przez alkierz wysunęła się na skinienie męża Jaryna i pobiegła z nim, zakładając mu ręce na szyję, aż pod ławę u krzyża.

— No, rzekł stając tu Ostap, chcę cię pożegnać, Jaryno.

— Pożegnać! spytała nie dowierzając.

— Wszakże wiesz, że odjeżdżam.

— Tak, mówiłeś mi to — jutro czy kiedyś tam.

— Dziś jeszcze.

— Jakto, dziś?

— Zaraz.

— Zaraz?

— Pamiętaj Jaryno, żeś mi przysięgła, jak ja pamiętać będę, że przysiągłem tobie; czekaj na mnie, ja powrócę.

Nic nie odpowiadając, stała panna młoda z wlepionemi w niego oczyma, niema, smutna, nieprzytomna, w głowie jéj się przewracało, kołowało, a w oczach złociste migały bryzgi.

— Ja wkrotce powrócę, mówił Ostap — i nie dokończył tych słów, gdy Jaryna z krzykiem płaczliwym rzuciła mu się na szyję, tak silnie chwytając go rękoma, obejmując tak zapalczywym uściskiem, że nie mogąc się wyrwać, Ostap zachwiał się przyciśniony do jéj piersi.

— Dziecię, nie płacz, rzekł powoli; wiedziałaś że pojadę, przygotowałem cię do tego, czegoż płaczesz? powrócę i będziemy żyli razem, zawsze i na zawsze razem.

Ale Jaryna nie słuchając go, uwiesiwszy mu się na szyi, płakała i krzyczała.

— Ja cię nie puszczę, ja cię nie puszczę.

— Uspokój się, proszę cię, uspokój się.

— Jak ja się mam uspokoić, mnie żal, żal, mnie wstyd i gorzko i sromotnie, ludzie palcami wytykać mnie będą i powiedzą: ot ta, co ją mąż pierwszego dnia porzucił.

— Niech ludzie mówią co chcą, Jaryno, mnie jechać potrzeba, ja pojadę — Co ludziom do nas.

— Dobrze tobie mówić, odparła kobieta, tobie ni żal, ni wstyd, ni nic; tobie wszystko jedno, ale mnie. doczekawszy szczęścia pójść z torbami! Nie, nie, ja ciebie nie puszczę.

— Na Boga zaklinam cię, uspokój się, utul moja Jaryno; inaczéj być nie może — Ja powrócę i nie pojadę więcéj z domu, zostaniem z sobą ot tutaj, na zawsze.

Ona nie słyszała już, zachodząc się znowu

od srogiego płaczu; ale widząc upor męża, puściła ręce i upadła na ziemię szlochając. Naprożno starał się Ostap pocieszyć ją, utulić; próżno przybiegli ojciec i matka, nic nie pomogło; z sercem ściśniętem siadł Bondarczuk na konia, zostawując ją płaczącą jeszcze pod krzyżem w dolinie.

W Skale majątku hrabiego Alfreda, dom mieszkalny wznosił się na podniosłej górze u stóp której płynęła rzeka. Brzeg jej urwisty, miejscami powolnie ku wodzie pochylony, ubierał pięknie ogród, w sposobie angielskim, ze starego włoskiego przerobiony. Szpalery dawniej obcinane misternie i starannie, które kształtowały świątynie, obeliski i kolumny z zieleni, puszczone swobodnie, rozrastały się teraz w okazałe ciemne ulice. Celną ozdobą tego miejsca, były ogromne drzewa i żywa czysta woda. Sam dom, długi, wązki, nie piękny wcale ale wygodny i utrzymywany czysto, zdaleka bielał przyjezdżającym. Dokoła ogrodu rozrzucone były zabudowania gospodarskie, a dalej sznurem wyciągała się wioska z cerkiewką drewnianą, z murowaną kar-

czmą, z młynem, stawem i kawałkiem przechodzącego tędy pocztowego gościńca, który po wzgórzach wił się sznurem drzew rozłożystych.

Tu mieszkała Michalina żona Alfreda, którą świeży wypadek męża, zostawił zupełnie osamotnioną, bez pociechy, bez opieki. Dla dalszego ciągu téj powieści, musimy z położeniem jéj obeznać trochę czytelników.

Hrabia Alfred, jakośmy się z jego rozmowy dowiedzieli, skutkiem szczególniejszego stanu duszy, wpadł był ostatniemi czasy w jakieś rozdrażnienie i zniecierpliwienie, rodzaj chorobliwego szału, który się stał przyczyną wszystkich jego i żony nieszczęść. Od lat dwóch przestawszy żyć czynnie, nie zajmował się niczém, nie dotykał niczego; nie bawiło go ani gospodarstwo, ani czytanie, ani towarzystwo, nie nęciła sztuka. To co dawniéj było najulubieńszem zatrudnieniem, zapomniane zostało i odrzucone. Przy żonie wesół, swobodny, na oko szczęśliwy, pełen dla niéj grzeczności i uczucia nawet; skoro sam z sobą lub z obcemi pozostał, znużony, wpadał w czarne zadumanie, lub najdziwniejszy stan gorączkowy. Milczał lub nieznośnie szy-

dził, gniewał się nie wiedzieć o co, zadzierał nie wiedzieć dla czego. Dozwoliwszy podręcznym swoim rządzić majątkiem jak się im podobało, nie wglądał wcale w stan poddanych, skarg ich słuchać nie chciał, lub zmuszony dać im ucho, roztargniony, odsyłał ich po radę do tych właśnie, na których się żalili. Korzystając z tej słabości hrabiego, rządzcy majątku nadużywali wszystkiego, znęcali się nad ludźmi, zbogacali się i uzuchwalali do najdziwniejszych kroków, będąc pewni bezkarności. Stan interesów zaniedbanych, pogorszając się nieznacznie co roku, przyszedł w końcu do kresu, za którym stało już bankructwo widoczne. Śpieszyli drapieżcy żeby pochwycić co można, nimby się reszta dostała w ręce wierzycieli. I nie tylko własny hrabiego Alfreda majątek, ale żony jego także, zostawał w tym opłakanym stanie. Dobra te oddzielnej natury, zlały się zaraz w pierwszych po ślubie latach, dla wzajemnego podźwignienia. Cała teraz massa zagrożona była sprzedażą z publicznego targu, którą wywołać naprzód musiały zaległe bankowi wypłaty.

Oprócz pożyczki umarzającej się corocznie,

część wiosek nią niezajętych, obarczona była długami prywatnemi, które i z dawnych czasów pozostały, i gdy hrabia Alfred poczynał się rządzić sam i pilnie wchodzić we wszystko, skutkiem pozyskanego kredytu pomnożyły się jeszcze. Od tych długów nieopłacane przez lat kilka procenta, zwiększały ciężar na majątku i tak już będącym w najgorszym stanie; a wierzyciele do rozpaczy przyprowadzeni, utworzyli pierwszy zaród nienawiści i niechęci powszechnéj, która wkrótce prześladować poczęła hrabiego Alfreda.

On jakby nie dbał o to co go spotykało, owszem jakby szukał jakiejś cierpkiej rozrywki w zatargach z ludźmi, z poczatku zaraz zjawiających się nieprzyjaźni nie tylko nic nie uczynił dla zmniejszenia ich, ale jeszcze drażnił umyślnie i powiększał, naprzekor wszystkim czyniąc. Łatwo pojąć jak nieznacznie z wyjątkowych uraz, z niechęci osobistych wyrodził się powszechny wstręt i nienawiść dla hrabiego. Nieprzyjaciele jego roznosili o nim wieści najdziwaczniejsze, a każdy chwytał je skwapliwie; hrabia zaś postępowaniem swojém, wszystko co o nim prawiono usprawiedliwiał.

Są ludzie względem których opinja publiczna, nie wiedzieć jak i dla czego, wysila się na potwarze często najniesprawiedliwsze; są inni tak szczęśliwi, że im wszystko przebacza, i wszystko dla nich tłómaczy? Zkąd ta surowość i to pobłażanie?

Nikt jeszcze tajemnicy tej nie doszedł.

Ruchoma jak chmury, zmienna jak obłoki, bezprzyczynna jak burze nagłe, opinja powszechności, którą głosem Bożym nazwano dawniej, tam tylko sądem istotnie Bożym być może, gdzie lud co ją ogłasza składa się z cząstek dobranych. U narodów na wysokim szczeblu, nie oświaty ale moralności zostających, włada ona wszystkiem i działa zbawiennie; u ludzi cierpieniem podrażnionych, schorzałych lub zepsutych, rzuca się dziennie z ostateczności w ostateczność, a wyroki są jej namiętne i najczęściej gwałtownością swą niesprawiedliwe. Jedno nic, przerzuca ją z jednego w drugi kraniec; wczorajsze bóstwa wali i depce nogami; a ze szczególną zajadłością potępiając z pozorów, rzadko się schyli do tych, których niewinnie skalała. U ludów silnych, opinja więcej podnieca niż zniechęca, raczej poklaskuje niż gromi; — u nieszczęśliwych, u u-

padłych, radaby zdaje się wszystko zniszczyć, wszystko pogrzebać, nikomu nie przebaczyć. U nas niestety — nikomu ona nie dodała siły, a wielu ją odebrała; — tak było i z Alfredem.

Obejście jego z wierzycielami, w początkach zaniedbanemi, potém odepchnionemi pogardliwie, nareszcie doprowadzonemi do ostateczności dumą i nierzetelnością dobrowolną Alfreda — było piérwszym zapewne powodem utraty opinii powszechnej. Wierzyciele stanęli, gwałtownie krzycząc, na czele nieprzyjaciół hrabiego; a zaniedbanie towarzyskich stosunków które tłómaczono dumą i napuszeniem arystokratyczném, obejście z ludźmi ostre i niegrzeczne dokonały reszty.

Przyszło do tego, że dziedzic Skały nie mógł się już w większém towarzystwie pokazać, że wszystkie prawie domy były dla niego zamknięte, a na każdym kroku spotykały go odgróżki i zaczepki. Ostatnia kosztowała życie Ludwikowi M. młodemu, wielkich nadziei chłopcu, który poległ w pojedynku z ręki hrabiego Alfreda. Najdziecinniejsza okoliczność była powodem sprzeczki. Alfred na balu w powiatowém miasteczku da-

nym za biletami, przyszedł umyślnie najgrawać się nieprzyjaznym sobie. Rozsiadł się ze swoim złym humorem i dumną miną w krześle tańcującej panny, która stanęła właśnie z Ludwikiem. Zająwszy te miejsce przypadkiem, Alfred nie ustąpił z niego, choć tancerka powróciła i stanęła przed nim, oglądając się i szukając krzesła. Ludwik bardzo grzecznie przypomniał hrabiemu, że miejsce to należało oddać komu było przeznaczone; ale on w najniewinniejszych tych kilku słowach znalazłszy cień szyderstwa, odpowiedział szydersko także:

— Mnie tu dobrze i nie wstanę; panu jeśli się podoba, możesz sobie przynieść inne krzesło.

— Mogę, rzekł rumieniąc się młody człowiek, ale nie lubię żeby mi to kto w taki sposób jak pan, przypominał.

— A jeśli pan nie lubisz, to co? spytał hrabia.

— To proszę go powtórnie o ustąpienie z miejsca.

— Ja go nie ustąpię.

— Więc pan chcesz żebym go zrzucił za

kołnierz! zawołał cały w płomieniach młody człowiek, któremu krew zawrzała.

Na te słowa Alfred parsknął śmiechem, i za całą odpowiedź zmierzywszy od stop do głowy wejrzeniem pogardliwém Ludwika, prawie w twarz mu plunął. Ten jak piorun rzucił się na hrabiego i byłoby przyszło do karczemnéj walki, gdyby przytomni nie rozjęli ich i nie uspokoili obu, pojedynkiem, wszystkich nierozwikłanych głupstw ludzkich ostateczném rozwiązaniem.

Nazajutrz, Ludwik od dnia szarego czekał na swego przeciwnika na mogiłkach za miejską bramą, i doczekawszy się przybycia Alfreda, padł śmiertelnie ranny od kuli, która mu pierś przeszyła. Nim hrabia uciekł, młody chłopiec skonał, przekazując licznéj rodzinie i niemniej licznym przyjaciołom, (bo cała młodzież kochała go po bratersku), zemstę za siebie.

Dano uciec Alfredowi w pierwszéj chwili zapomnienia się, rozpaczy, gdy wszyscy jeszcze garnęli się około Ludwika; lecz opamiętawszy się bracia, towarzysze, ojciec, zaczęli ścigać zabójcę, który ledwie miał czas prze-

mknąć się przed pogonią za granicę. Alfred był znienawidziony powszechnie, Ludwik kochany od wszystkich; można miarkować jak ten wypadek wytłómaczono, jak go oceniono i jakie wzbudził uczucia. Znaleziono najsprawiedliwsze zarzuty przeciwko pojedynkowi i sposobowi w jaki się on odbył. Gdyby nie szybka ucieczka Alfreda, byłby wydany w ręce władzy i świadectwem wszystkich potępiony u sądu, jako zwyczajny zbójca i napastnik.

Na czele reszty nieprzyjaciół Alfreda, stał główny wierzyciel jego, niejaki Hipolit Ciemierka. Człowiek to był powierzchowności grubijańskiéj, w obejściu nieznośny, czasem upadlający się do obrzydliwości, to znów nadymający swemi pieniędzmi niesłychanie. Niewiadomego pochodzenia, spekulant ten żył z pożyczania, chociaż do niego nikt prócz zdesperowanych, nie udawał się po pieniądze. Po powrócie Alfreda z zagranicy, Ciemierka niemając co zrobić z kapitałem od roku leżącym bez procentu, podsunął go hrabiemu. Sławny ze swéj trafności w obrótach, Ciemierka pierwszy raz omyliwszy się w ulokowaniu summy, dwojako cierpiał na kieszeni i na dumie.

Nie tyle może bolała go prawdopodobna strata, jak raczej upokorzenie, że się dał uwieść i oszukać. Ciemierka wściekał się na hrabiego; w początku chciał go zmusić do wypłaty zwykłym sobie sposobem, który mu się często powodził, to jest, grubijańskiemi najazdy, łajaniem, gniewami i krzykiem. Gdy to wszystko nie tylko że do niczego nie pomogło, ale hrabia kazał go za drzwi wypchnąć i oznajmił mu, że nie zapłaci aż zmuszony procesem; spekulant począł razem mścić się i processować. Szerokie mając stosunki, ostry język a serce żółci pełne, wkrótce do reszty zniesławił swego przeciwnika, i poruszywszy wszystkich jeszcze dotąd spokojnych wierzycieli, rozżarzywszy niechętnych i zazdrośnych, rozpoczął wojnę. Wojna ta spotykała Alfreda co krok: u drzwi kościoła parafialnego, gdzie go palcem pokazywano zowiąc bankrutem; w miasteczku, gdzie najmowano żydków żeby mu podrzucali paszkwile, we własnym domu nawet. Trwało to więcej niż od roku i obiecywało się przeciągnąć, gdyż sprawa sama z tysiąca powodów rozwałkować się dała, odkładać, zwracać do dopełnień i przedłużać. Ciemierka ufny w swój oblig, niewiele starał

się po sądach, a sekretarze wiedząc o stanie jego kieszeni, radzi że go pochwycili, umyślnie mu psikusy płatali.

Oprócz sprawy z P. Ciemierką, czysto obligowej lecz zagmatwanej nieformalnościami, Alfred porzucił w domu pięć różnych procesów o granice, o przetrzymanie obcych ludzi, o summy ewikcyjne nielegalnie powypłacane, o rachunki z jakiejś administracyi, o której nawet nie wiedział. Nieopłacony bank i niepownoszone w zupełności podatki; nieoddany w porze rekrut, niezsypany magazyn, mnożyły niebezpieczeństwa w jakich majątek zostawał. Wszyscy ludzie byli od lat kilku niepłatni; niektórzy znaczne sumki narachowali na skarbie w ktorym służyli: słowem, stan Skały i reszty majętności Michaliny i Alfreda był zrozpaczony prawie.

W dodatku, obejście się z ludźmi srogie, doprowadziło ich do takiego rozjątrzenia, że co chwila wybuchnąć mogło nieposłuszeństwo, które już kilka razy objawiające się cząstkowo, siłą tylko i karami poskromiono.

W takich to okolicznościach przywołany przez Alfreda Ostap, śpieszył objąć opiekę nad jego żoną i dziecięciem, i rządy zrujnowa-

nego majątku. Wiedział on po części co się działo w Skale: ale na miejscu dopiero mógł się całej rozległości swojej ofiary, i trudnościach zobowiązania swego przekonać. Jechał z silnem postanowieniem uczynienia wszystkiego co było w jego mocy, dla ratunku ukochanych; wiózł z sobą wexel Hercyka, wszystko co sam miał zapracowanego w ciągu życia, swoje siły, gotowość do pracy, poświęcenie. Lecz gdy zbliżył się do Skały, gdy zabielał mu dom w którym ona była, gdy pomyślał, że tam czekała na niego, zadrżał, opuściła go moc nad sobą i przytomność. Napróżno starał się siłę wyrobić, odpędzić uczucie i cierpienie, odepchnąć myśli natrętne; osłabły walką: musiał się zatrzymać i opóźnić swoje przybycie jeszcze do odzyskania tak potrzebnej mu odwagi i krwi chłodnej.

Wieczór był, gdy po modlitwie, po gwałtownych z sobą bojach, Ostap przybrawszy na się zimną i głupowatą powierzchowność, odziany niedbale, na pozór obojętny, przyszedł do drzwi dworu w Skale. Pomimo uczucia które nim w tej chwili miotało, okiem przyjaźni dostrzegł z boleścią oznaki ruiny i

upadku. Ludzie chodzili samopas posępni, hardzi, odpychający, niechętni; budowy niepoprawiane i walące się gdzieniegdzie, zakrawały na pobielane pustki; ogród zarastał chwastami ; ćma żydów czarnych włóczyła się do koła, obsiadając Skałę, jak krucy zlatują się na padło. Grobowe milczenie zimnym swym całunem pokrywało ten obraz konania majątkowego; siekiera tylko stróża, który niedaleko domu rąbał stare olchy ogrodu na opał do kuchni, przerywała je jak stuk młota zabijającego wieko trumny.

Ostapowi serce się ścisnęło boleścią; wszedł do sieni, nikogo tu nie zastał; długo czekał w przedpokoju, w saloniku nieumiecionym i zapylonym, nim się poważył pójść dalej, nareszcie służąca oznajmiła o nim pani, a Michalina kazała go prosić do siebie.

Siedziała ona w oddalonym, osamotnionym pokoiku sypialnym, u kolebki dziecięcia; lecz jak zmieniona! jak inna! Tylko zręczna, wysmukła i giętka kibić, pozostała jéj z dawnych dziewiczych wdzięków! tylko białość przejrzysta jeszcze jéj twarz zdobiła; lecz rumieniec i uśmiech i spójrzenie i spokój pięknego czoła, wszystko po jednemu zabrało, uniosło z so-

bą życie. Czarne jej, pełne ognia oczy, jeszcze zdawały się większe w zapadłych powiekach, ale płomień ich łzy zgasiły; usta miała blade, policzki wychudłe, a ogromny kruczy warkocz włosów, zdawał się jej główkę pociągać ciężarem swoim na ramię, na którem przechylona leżała.

Na miejscu rumieńca marmurowa bladość, okrywała zarówno twarz całą; w wargach nawet krwi kropli nie było, i jedne tylko oczów oprawy trochę zarumienione, zdawały się mówić, że wszystką krew wypłakała. W czarnej sukni po szyję, w czarnej chustce, z odkrytą głową, siedziała schylona u kołyski, i patrzała przez blizkie okno na wodę.

Przybycie Ostapa o którém wiedziała, nie wzruszyło jej, nie zmieniło wyrazu obumarłego oblicza, nie wywołało nawet przelotnego rumieńca. Gdy chód jego dał się słyszeć u drzwi, spójrzała nad dziecię spiące, potém podniosła oczy ku niemu.

Ostap przybrał postawę gburowatą, strój do niej stosowny i wszedł z niezgrabnym ukłonem, z niezgrabniejszym uśmiechem. Widać było, że Michalina zdumiała się widząc go wcale innym niż się spodziewała, bo po

pierwszém ujrzeniu dopiero, oblał ją na chwilę rumieniec, Nie rzekła słowa, wskazała mu tylko krzesło, lecz Ostap nie usiadł.

— Jakże to dawno, jakże to dawno, odezwała się przerywanym głosem, nie widzieliśmy się. Prawda? wszak to temu lat kilka! wieki — nie wiem.

— O! dawno — jużciż bardzo dawno, powtórzył Ostap odegrywając włożoną na siebie rolę. Michalina nie dosłyszała odpowiedzi powszedniéj, obojętnéj; i głos, i słowa były dla niej dziwne, spójrzała i dodała szybko.

— Zastałeś mnie pan tak jak wdową, a to dziecię tak jak sierotą: nieszczęśliwy Alfred musiał nas porzucić, myśmy sami, okrutnie sami i okrutnie biedni! Z obowiązku żony i matki chciałam zaraz po odjeździe Alfreda zajrzeć w interesa nasze, poznać się z ich stanem — są okropne.

Ostap milczał, oparł się o ścianę, ręce w tył założył, i choć myśli i uczucia burzyły się w nim, jak kipi woda na ogniu, na widok téj kobiety tak zmienionéj, tak widocznie upadłéj na nadziejach, znużonéj, nieszczęśliwéj — przecież nie dał znaku ani myśli, ani uczucia.

— Pan będziesz opiekunem naszym i zbawcą, mówiła Michalina, — nieprawdaż?

— Zrobię wszystko co będzie można, lakonicznie szepnął Ostap; wszystko co mi pan hrabia kazał.

Michalina nie poznawała w przybyszu dawnego Ostapa, tak dziwnie on zmienił, przymuszając się do tej ofiary, i wyraz twarzy i postawę i mowę. Ten zawód który nas zawsze prawie spotyka po długiem niewidzeniu ukochanych, których zwiększamy w sercu naszem aż do olbrzymich rozmiarów, przechodził pojęcie hrabinej, krwawił jej serce. Przygotowana do przybycia Ostapa, między nim a sobą stawiąc kolebkę dziecięcia, wyobrażała go sobie zawsze nieszczęśliwym, pełnym szlachetnych uczuć, smutnym i znękanym młodzieńcem; zdumiała się spotykając chłodną postać zobojętniałego człowieka, który na nią poglądał zimno, który jej odpowiadał pół słowy, i zdawał się nic nie czuć, a mało rozumieć.— Mogłażem się tak omylić? zawołała w duszy— nie! nie! to udanie! na dnie tej spokojnej głębi, tai się ogień, kryje uczucie bojaźliwe. Mógłże tak się odmienić, tak zestarzeć? tak zapomnieć? I rozdrażniona zapomniała na chwi-

lę o dziecięciu, zwróciła się ku niemu, spojrzała mu w oczy z bijącém sercem, a drżące jéj usta, ciszéj, nieśmiało spytały:

— Pan nas nie opuścisz?

Dzwięk jéj głosu i wyraz twarzy zamąciły udany spokój przybyłego; zabiło jego serce, poruszyły się ręce, załamały, całe uczucie które taił dobyło się na zewnątrz, a zmieniony, opromieniony niém Ostap, zawołał:

— O! nigdy! nigdy!

W tym wyrazie, powtórzonym namiętnie prawie, Michalina znalazła całą swą przeszłość. Obudziła się miłość, któréj dotąd zgasić nie mogła; zdawało się jéj jak gdyby go dopiéro zobaczyła. Lecz dziecię ludu, przywykłe od młodości do ukrywania wszystkich uczuć, potrafiło wnet wybuch poskromić; i rozkazawszy oczom obumrzeć, postawie zlodowacieć, wrócił Bondarczuk do piérwszego stanu, w jakim się jéj wchodząc ukazał. Widzenie znikło.

Ale zapóźno! Michalina odgadła tajemnicę, i pocieszona, spokojniejsza, choć swój spokój i radość wyrzucała sobie, już nie zwróciła oczów na niego, już nie probowała rozbudzić zamarłego. Rozmowa na moment przerwana,

znów poszła tokiem zwyczajnym, szerokim gościńcem pospolitych rozmów, obojętnych ludzi.

— Nie poznasz pan swojego kraju, mówiła Michalina; tyle się tu zmieniło! I my! i wy! i ludzie i sam kraj nawet. Otoczyli nas nieprzyjaciele, zawistni, niechętni; wytłómaczyć sobie nie umiem jak ich tylu mógł sobie zrobić Alfred. Biedny Staś!

— Wszystko da się przerobić; wszystko się zapomni. Czas to wielkie lekarstwo.

— Czas! nie! odparła kobieta; są ludzie i uczucia na których czas nic nie może. To mówiąc westchnęła nad sobą mimowolnie. — Ale pan zostałeś opiekunem naszym, dodała żywo, i ja mam już nadzieję lepszej przyszłości.

— I ja mam trochę nadziei, rzekł Ostap; a jeśli gorące pragnienie cóś znaczy i do czego służy, ziści się może choć ta trocha nadziei.

— O! ja wiele też nie żądam, mówiła Michalina spuszczając oczy na kolebkę; wróć dziecięciu ojca, uspokój niechętnych, opłać wierzycieli, a nam byleby pozostał choć mały jaki kątek, choć spokojny domek szlachecki.

Łzy potoczyły się po po jéj twarzy.

— Nie płacz pani! na Boga nie płacz pani — zawołał Ostap, który widoku tego bez wzruszenia znieść nie mógł, i czuł że go osłabia; łzy nie ratują, łzy gubią; tu potrzeba męztwa, potrzeba wytrwania.

— Za wiele wymagasz pan po kobiécie! odpowiedziała hrabina, która obudzona zmienionym znowu głosem Ostapa, spojrzała na niego i ujrzała w nim dawne swe marzenie. Męztwo! wytrwałość! to może nie nasze cnoty. Ale ja się mniéj boję widząc już pana przy nas, mniéj daleko, wierz mi. A potém, ja wiele nie żądam: dla Stasia jakikolwiek chleba kawałek; nie będzie potrzebował wiele, wychowam go do ubóstwa, tak bezpieczniéj. Dla mnie — jabym tylko chciała, dodała po zastanowieniu, gdyby to być mogło, ze szczątkiem majątku wyratować dom moich rodziców, gdzie mi tak błogo upłynęła młodość; resztę, wszystko a wszystko, nawet Skałę oddam bez żalu.

Ostap całe swe siły przywołać musiał, aby ukryć co się z nim działo; drżał, czuł że słabnie i dźwięk tylko głosu Michaliny dochodził uszów jego; wyrazy przelatywały niezrozumiane.

—Pani! odpowiedział cicho — zrobię, przysięgam, zrobię co tylko będzie można, co mi pani każesz,

—O! ja nie rozkazuję, ja i prosić nie śmiem. Rób co ci wskaże przyjaźń dla Alfreda — i, szepnęła prawie niezrozumiale — i pamięć na jego dziecię.

Zamilkli, łzy ciągle płynęły z oczów hrabinej, dziecię się przebudziło i wyciągając rączki do niej, poczęło ją wołać do siebie; długo nie posłyszała go matka, potém rzuciła się do kolebki i porywając na ręce śliczne czarnookie pacholątko, podniosła je ku Ostapowi. Nie śmiał go dotknąć Bondarczuk, bo jakieś boleśne, niewytłómaczone uczucie ścisnęło mu serce na widok dziecięcia, które tuląc się do hrabinej objęło ją rączkami i zdumione poglądało na nieznajomego z obawą.

— Ukłońże się Stasiu! mówiła matka, ukłoń się temu panu, on ci ojca ma zastąpić.

— O! pani, rzekł Ostap z uczuciem — będę tylko najpierwszym i najgorliwszym sługą waszym.

To mówiąc posunął ku drzwiom.

— Pan już odchodzisz? spytała go Michalina widząc go z pokornym ukłonem wymykającego się.

— Chwili nie mamy do stracenia.

— Jabym potrzebowała pomówić z panem.

— Rozkaże mnie pani zawołać.

Znów Ostap przy tém pożegnaniu dziwnie obcym i innym wydał się Michalinie, znów postawa jego i twarz przykro ją uderzyły sprzecznością z tym obrazem który miała w pamięci; lecz nim sprawdziła swoje wrażenie, jego już nie było.

Staś tylko szeptał cóś do matki, ale ona go nie słyszała; cała w sobie, zamyślona, poruszona, niespokojna, oddała dziecię piastunce i pozostała w krześle nieruchoma, przybita, milcząca.

Ona go jeszcze zrozumieć nie mogła, a wyrzec się nie chciała.

Z pokoju Michaliny wybiegł Ostap do ogrodu, potrzebując zebrać przytomność, siłę i myśli, aby natychmiast zająć się pracą ogromną która na niego czekała; potrzeba było poskromić uczucie, ostygnąć na zawołanie i pójść zaprządz się do najtrudniejszego z ludzkich zatrudnień, od którego jednak los matki i dziecięcia zależał. Ma to do siebie wielkie, podniesione uczucie prawdziwe i szlachetne, że człowieka, jeśli nie na zawsze to

na czas zbroi, umacnia i podwyższa. W niém Ostap znalazł braknące mu w téj chwili przymioty, i śmielszy, z przechadzki swéj skierował się ku domowi, a raczéj dworowi pana rzadzcy.

Miał bowiem pan rządzca dwór z ogrodem i zabudowaniem, któryby nie jednéj szlacheckiéj przydał się wiosce; miał oddzielne gospodarstwo, usługę, i żył na stopie majętnego człowieka, gdy interesa zewsząd groziły ruiną. Korzystając z ostatnich chwil pobytu w Skale, nie tracąc czasu napróżno, czynnie się zajmował własnemi naprzód interesami i gospodarstwem.

W dziedzińcu porządnie sztachetami ogrodzonym, z klombem w pośrodku, kilku ludzi czekali leżąc pod wrotami na posłuchanie, którego im od rana odmawiano, kilku żydów siedzieli u ganku; a w pokoju samym rozmawiał rządzca z ekonomem jednego folwarku. Niepozorne ubranie Ostapa zastanowiło siedzącego u ganku chłopaka, który rąk nie wyjmując z kieszeni, spytał tylko przez zęby.

— Czego to asan chcesz?

— Widzieć się z panem rządzcą.

— A cóż asan za jeden?

— Mój kochanku, odpowiedział Ostap, powiedź tylko, że mam pilny list od pana hrabiego, i muszę go panu Susłowi do rąk oddać.

— List od JW. grafa? spytał chłopiec — albo to nie można i mnie go poręczyć, to ja go oddam, bo pan rządzca teraz nie ma czasu.

— Idź-że no tylko i oznajm, rzekł Ostap powolnie.

— A kiedy ja wiem, że nie ma czasu!

— No, to ja sam pójdę się o tém przekonać, zbliżając się rzekł Ostap śmiało. Chłopiec chciał bronić przystępu do drzwi, ale wejrzenie surowe przychodnia, zmięszało go i odstąpił cóś bełkocząc.

Rządzca człek już podstarzały, który nie z jednego pieca chléb jadł, a jak drudzy mówili i nie w jednym piecu palił, był niegdy u Pijarów pauperem, ze szkół wyszedłszy długo i mozolnie dobijał się piérwszéj swéj plenipotencyi, nareszcie doszedł i kapitalików i stosunków i zaokrąglonego brzucha. Rumiany, okrągły, z wielkim jasnym wąsem, który mu z dawnych czasów pozostał, z małemi szaremi oczkami, z ręką zarzuconą za kamizelkę porozpinaną, siedział w krześle wygodnem u stolika zarzuconego papierami: w progu stał

pokornie ekonom skurczony i zbiedzony. Na widok wchodzącego niepoczesnego przybysza, który bez opowiedzenia się śmiał wtargnąć do kancellaryi, zmarszczyły się jasne brwi pełnomocnika, zasępiło wejrzenie i trochę się podniósłszy, sapiąc, zapytał:

— A pan czego?

— Mam tu list do pana.

— Ale ja jestem zajęty, po co było...

— To list od pana hrabiego.

— Od hrabiego, a choćby i od księcia — rzekł pan rządzca, można było poczekać.

— Niech no pan przeczyta, rzekł Ostap, a przekonasz się, że nie mogłem czekać, aż pan mieć czas będziesz. To mówiąc Ostap oddał list, i nie pytając więcéj usiadł na przeciwległéj kanapie, przypatrując się pokojowi.

Pan Michał Suseł, gdyż jakeśmy wspomnieli, to było nazwisko pełnomocnego pana rządzcy, rozerwał pieczęć patrząc z pod oka na przybyłego i jego poufałe obejście się, począł czytać, zająknął się, połknął kilka razy ślinę, czegoś zbladł i odkładając papier na stronę.

— Bardzo pana dobrodzieja przepraszam, rzekł do Ostapa, ale nie wiedziałem.

— Nie ma za co przepraszać; ja się wcale nie gniewam.

— Więc to pan tu przybywa.

— Ja przybywam dla objęcia rządu majątku i interesów; a że oboje wymaga niezwłocznej rady, jak widzę z niektórych papierów, proszę więc pana żebyś się zajął zaraz zdaniem mi wszystkiego.

Pan Suseł zmięszany już, podwójnie się i widocznie skłopotał; potarł czoło i jąkając się rzekł:

— A dobrze, a barzo dobrze, chociaż — to widzi pan.

— Dotąd nic nie widzę.

— Wistocie nie jestem przygotowany.

— Będziemy sobie pomagali, rzekł Ostap.

— Bo widzi pan, miałem u JW. hrabiego zupełne zaufanie.

— I spodziewam się żeś go pan nie nadużył.

— Bóg widzi, widzi pan — pozwoli pan — za chwilkę będę mu służył.

Zakręcił się i wyszedł jak we wszystkich wielkich razach, po radę i pomoc do żony, która go nieraz już ratowała swojemi wymównemi oczyma i ustami.

Ostap, który już dobrze znał wprzód człowieka z jakim miał do czynienia, usiadłszy, cierpliwie czekał jego powrótu. Widział z przyjęcia, że szybkie przybycie pomięszało tu szyki, trzeba było nagląc zdawanie papierów i rachunków, ratować interesa o ile było można.

Po kwadransie czasu, wśród którego słychać było wielki zamęt w całym domu, fortepian odzywający się wprzódy tęsknemi tony, ustał dzwięczeć, a ludzie poczęli biegać po podworzu i niezmierne szeptania dochodziły z sieni; pan Suseł wszedł na powrót do kancelaryi z lepszą trochę miną.

— Bardzo pana przepraszam, ale obowiązek, oj! to panie, dozna pan sam, obowiązek sekujący.

— Kto go chce gorliwie i sumiennie spełniać.

— Otoż to jest panie dobrodzieju! Interesa, Bóg widzi nie z mojéj winy — w stanie okropnym. Dzięki Bogu, że pan sobie ten ciężar przyjmie odemnie; jużbym rady daléj nie dał, prosiłem się żeby mnie ztąd z duszą puścili. Między nami mówiąc, długów więcéj niż majątku. Ale cóż ja temu winienem?

JW. graf przez swoję powolność... Tu przerwał z uśmiechem i spytał:

— Można pana dobrodzieja prosić na herbatkę do mojéj żony?

— Bardzo dziękuję, nie pijam herbaty, a mnie pilno do rzeczy.

— Jakto? zaraz? tak nie spocząwszy?

— Zaraz panie, zaraz.

— Ale my tu panie, nic nieprzygotowani.

— To nic nie szkodzi, u mnie o żadne formy nie chodzi.

— Więc pan każe przywołać oficyalistów?

— Naprzód, prosiłbym o papiery i wyjaśnienie stanu interesów bieżących.

— Papierów, panie dobrodzieju? co się tycze papierów, te — co do części prawnéj są w powiatowém mieście, a administracyjne, ekonomiczne, rachunkowe, to po rękach u oficyalistów.

— Ale są też i u pana?

— Wszak toby może na jutro — jabym pozbierać kazał.

— Przyznam się panu, że czasu nie mam i chwili do stracenia; jutro muszę jechać do

miasta powiatowego. Rządzca poskrobał się w głowę, spójrzał uważnie na Ostapa, chciał cóś powiedzieć i umilkł.

— Tu bo widzi pan, w tém zawikłaniu, nim pan rozpozna stan rzeczy — od czegoż byśmy poczęli?

— Od czego się panu podoba, bylebyśmy zaczynali.

— Pan nie wié co to jest, to gmach.

— Ja to już trochę znam.

— A! to tém ci lepiéj, tém lepiéj! O! proszę pana, ja tu zdrowie nad tém straciłem, siły; wiek — ot — i tak! a teraz chętnie Bóg widzi, chętnie się zbędę i pójdę odpocząć.

Drzwi tylko dzieliły kancelaryą od bawialnych pokojów, rządzca chrząknął mocno, raz i drugi, i z sieni wysunęła się bardzo ładniutka blondynka, dość strojna, która z uśmiechem powolnym i wabiącym, spójrzawszy na Ostapa, odezwała srébrnym głosikiem, sznurując usteczka.

— Można pana dobrodzieja prosić na poziomki i herbatkę.

— Bardzo pani dziękuję, herbaty nie pi-

jam, poziómek nie jadam, a my tu mocno jesteśmy zajęci.

— Ale na chwilkę, to nie oderwie na długo.

— Daruje pani, że jéj odmówić muszę; interesa a nadewszystko cudze, muszą iść przedewszystkiém.

— Pan bo nie łaskaw na nas, dodał pan Suseł.

— Najmocniej przepraszam państwa, ale w istocie, godziny mam policzone i natychmiast musimy zająć się papierami.

Piękna blondynka dość chmurno i pogardliwie spójrzawszy na Ostapa, zakręciła się i szepnęła do męża.

— Ja tu panom przyślę, kiedy pan niełaskaw do nas. To mówiąc wyszła.

— A więc zaczynamy, naglił Ostap.

— Ot są papiery! niech pan sobie szczęśliwie zaczyna; rzekł dławiąc się Suseł i coraz z łagodnego tonu w groźniejszy wpadając.

— Bez pana nie chciałbym sam poczynać.

— Ot co to darmo wodę warzyć, powiém panu otwarcie: pan tu przyjechał napróżno, bo tu już rady nie dać.

— Dla czego?

— Bo tu i człowiek co na tém zęby zjadł nie poradzi.

— Cóż więc będzie?

— Co? a co ma być? oczéwiście majatek sprzedadzą i z torbami pójdą, i po wszystkiém.

— Dawno pan rządzisz tu? spytał go Ostap.

— Dla czego pan się o to pyta? lat dziesięć panie, ale to nie moja wina, ja robiłem co mi robić kazano.

— I dozwoliłeś pan na wszystko, nie starając się ani uwagą, ani radą życzliwą sprostować hrabiego: widząc ruinę nie usunąłeś się pan w czas?

— A mnie co do tego? mnie dysponowano, ja robiłem; a co potém, ręce umywam. Ja tu nic nie winienem.

— To się okaże.

— Co tu się ma okazywać? zawołał pan Suseł; nie ma nic i nie będzie nic.

— A zatém jak się panu zdaje, cóż ja mam robić? spytał ironicznie Ostap.

— Rób pan co chcesz, a moja rada nie wdawać się w nie swoję rzecz, bo pan tu nie dójdziesz, ani początku, ani końca.

— Sprobujmy przecie, rzekł Ostap, siadając za stół i klaskając w ręce. Każ pan zawołać rachmistrza, pisarzy i oficyalistów.

Pan Suseł zastanowił się, popatrzał trochę, ruszył ramionami i idąc ku drzwiom, niepewnym głosem począł cóś dysponować chłopcu, który się w progu ukazał z herbatą. Potém chodząc po kancelaryi, przerywanemi słowy, wpół do siebie, wpół głośno, mówił:

— Rób pan co chcesz! to nie moja wina, ja tu na włos nie chybiłem: moje sumienie czyste. Straciłem wiek, mniejsza o to — człowiek wyjdzie choć z torbami, ale z okiem niezapruszoném. Ja się nie boję, niech tu kto chce sądzi.

Powoli ustawało to mruczenie coraz niewyraźniejsze, i rządzca chodząc głęboko zamyślony, a widząc że Ostap poczyna papiery rozpatrywać, z przymuszonym uśmiechem odezwał się do niego.

— To pan taki myśli doprawdy?

— Doprawdy myślę się zająć i to zaraz; życzę i panu nie odkładając wziąść się do zdawania papierow i kassy.

— Kassy? powtórzył Suseł, albo to pan my-

śli że u nas jest kassa. Ja tu już nie pamiętam kiedy grosz widziałem.

— To dziwna, odparł Ostap — jednak tu u pana niedostatku nie postrzegam; bo i powóz widziałem porządny, i fortepian słychać, i w domu niczego.

— Cóż to pan myśli, że człowiek żyje i żył tylko z łaski pana grafa? Toć przecie moja żona Terliczówna z domu, i wniosła cóś po sobie; a ja także nie z gołemi rękami tu się dostałem. Jeszcze to łaska Pana Boga jeśli swoje wyratuję, bo wszystko zahartowałem pomagając grafowi, a kto wie czy i za to, choć Bóg zapłać, powiedzą.

— Dajmy pokój żalom, rzekł Ostap wracając do rzeczy; zaczynajmy robotę.

— Jak to widać że panu nowina do tego się brać; czy to tak jak z płatka wywinął, wszystko zrobić? Tu to gmach panie, tu i miesiąc siedzieć mało żeby A, B, C, się nauczyć

— Tém prędzéj poczynać potrzeba.

— I przestrzegam pana, że nie dojdziesz ni ładu, ni składu, bo to chaos — co darmo to darmo.

— To już wina pana, jeśli się tak interesa zagmatwały.

— Moja wina! ha! tak! tak? pan mi grozi? No — to zobaczymy co z tego będzie! Moja wina! powtórzył burcząc pan Suseł, ja tu wyjdę czysty, nie wiém tylko jak kto. Ja, panie, miałem zupełne zaufanie JW. grafa i służyłem mu lat dziesięć, to tak jednéj godziny pójść z kwitkiem nie mogę. Ale to łaska pańska na pstrym koniu jeździ.

— To prawda panie, ale i wierność oficyalistów, często także na pstrym koniu ucieka. Do rzeczy panie, do rzeczy.

— Róbże pan sobie co chcesz, grubijańsko odezwał się Suseł; ja zaraz wyjeżdżam i zobaczymy co tu pan sobie poradzi.

To mówiąc, zostawiwszy Ostapa samego w kancelaryi, obejrzawszy się parę razy za drzwi czy go nie zawoła, rządzca wyszedł z pokoju trzaskając za sobą, i wprost udał się do żony siedzącéj wedle zwyczaju za kanwową robotą.

— A co duszko? kiepsko! zawołał wchodząc do saloniku przystrojonego w dywany, kwiaty, porcelanę i mahonie.

— No! cóż tam ten pan.

— A bierze się do krocset diabłów zaraz

do obrachunków, i chce mnie jak widzę pozbyć się kolanem.

— Ależ ty zawsze nie umiesz sobie dać rady, mój Michale.

— A jaka to rada?

— Nie dopuścić go.

— Pięknie? czémże to?

— Tysiąc sposobów; pozbyć się go z domu, papiery zamknąć, a pojechać do miasteczka, tam ci poradzą i sposoby znajdą.

— Aha! pozbyć się go! kiedy jak wlazł do kancelaryi, to go i jejmość nie potrafiła wyrwać ztamtąd. Cóż ja go za drzwi wypchnę, czy co?

— Z ciebie zawsze niezgrabiasz, rzekła pani — co mnie do tego! Jak sobie pościelesz tak się wyśpisz, ja zaraz wyjeżdżam.

— A to i ja z jejmością.

— Po co?

— Cóż ja tu będę robił?

Pani wspaniale ruszyła ramionami, przeszła się po pokoju, zadzwoniła i zadysponowała lokajowi, który wszedł: — Konie do mego kocza!

Zwołani oficyaliści nadeszli tymczasem. Na ich twarzach także widać było pomięszanie, niepokój; niektórzy pewniejsi siebie i rejterady uśmiechali się tylko szydersko.

Jeden, stary kassyer pan Jacek Polakiewicz, ze smutną twarzą za innymi stanąwszy, czekał rozkazów bez niepokoju, ale bez wielkich nadziei, jak to po zwieszonym nosie widać było. Dawny sługa domu, on jeden z ruiny jego nie korzystał; bolał nad nią, a nie miał siły oddalić się od hrabiego. Nieżonaty, bez rodziny, całem sercem przywiązał się do swoich panów i radby był ich ratował; ale cóż on mógł sam jeden. Figurka ta niepoczesna, w łatanym surducie, z okularami w ręku i księgą ogromną, stała wpatrując się w przybyłego i wybitnie okazując rysami twarzy strapienie, zniechęcenie i odrobinę nieśmiałej jeszcze nadziei. Cały dwór oddawna nie miał za Boże stworzenie Polakiewicza; wyśmiewali się z niego wszyscy, nadewszystko z akuratności z jaką zapisywał w regestrach pieniądze, których nigdy w oczy nie widział; z pobożności, posunionej do zagorzalstwa prawie i osobliwych trochę obyczajów. Jacek na to nie uważał i swoje robił. Oddawna nie pobiera-

jąc pensyi żadnéj, ze sprzedaży skórek lisich, bo był wielkim myśliwym, utrzymywał się, nie ustępując z izdebki ciasnej, brudnéj i niewygodnej, którą przy kuchni od lat dwudziestu zajmował. Mieszkanie to, jak sam pan Jacek, było pośmiewiskiem wytwornych panów pisarzy, rachmistrza i reszty dworu. Z jedném okienkiem na ogród warzywny, niemytém od niepamiętnych czasów, zimą i latem zaklejoném, starannie zamykane pod pozorem kassy, któréj nigdy nie było, mieściło w sobie stos gratów osobliwszych, w największym rozrzuconych nieładzie. Polakiewicz miał passyę przesuszania swéj garderoby, która z kolei przez rok cały rozkładała się po próżnych kufrach i wygniecionych krzesełkach. Pies wyżeł i pan jego, mieli w téj graciarni dwa posłania równie wązkie i brudne. Ściany całe okryte były obrazkami świętych, do których modlił się kassyer. W ogromnéj szafie był cały przybór myśliwski. Największy niedostatek sprzeczał się tu z osobliwszą troskliwością o stare łachmany, i zamykał na wymyślne zamki i kłódki.

Do téj izdebki nikt nigdy nie wchodził prócz zaufanego parobka Mikity, z którym Po-

lakiewicz żył w wielkich stosunkach, i niekiedy rozmawiał. Do innych otaczających go nie mówił nigdy, na najzjadliwsze szyderstwa, ruszając tylko ramionami. Z rana, najregularniéj latem i zimą wstawał pan kassyer o czwartéj i poczynał dzień od nabożeństwa głośnego, ktore jak śpiew koguta budziło wszystkich sąsiadow. Skończywszy pieśni i litanje, wychodził na polowanie, bo zawsze jakiś rodzaj polowania wymyślił sobie, a w niedostatku innych, polował na krety i wiewiórki nawet. Wierne stare psisko wlekło się z nim do lasu, powracało na suchy, często, chleba kawałek, i zasypiało nasłuchawszy się pieśni, którémi Polakiewicz dzień kończył. Zapomnieliśmy dodać, że dwie lub trzy godziny poświęcał zawsze rozpatrywaniu się w rachunkach i notatkom. Regestra jego były osobliwsze, gdyż nikt oddawna do nich nic mu nie podawał; kassa była w ręku rządzcy, przecież pan Jacek najdokładniéj o wszystkich przychodach wiedział, i summę ich perceptował do księgi.

Rozkazawszy wszystkim przygotować się do zdania rachunków i zapowiedziawszy, że pan Suseł od téj chwili majątkiem rządzić prze-

staje, Ostap odprawił wszystkich, dając znak Polakiewiczowi żeby pozostał. Alfred, który się śmiał z innemi dawniej ze starego sługi, przypomniał go sobie na odjezdnem, i polecił jako najwierniejszego ze wszystkich.

Odchodzący spójrzeli z ukosa na pana Jacka i wysunęli się do sieni, gdzie długie szepty oznajmywały konferencyę z panem rządzcą ostatnią. Polakiewicz przy progu stanąwszy, założył ręce, i ze spuszczoną głową czekał rozkazów.

—Pan tu najdłużéj zostajesz w tym skarbie, odezwał się Ostap do niego, od pana najwięcéj nauczyć się mogę. Hrabia polecił mi go jako najwierniejszego swego przyjaciela, pomożesz mi do obeznania się z interesami i z ludźmi.

— Oj! kochany paneczku! rzekł cicho Polakiewicz, wskazując wielkim palcem na drzwi, dużo tu mówić, dużo tu robić i dużo odrabiać.

— Jest co w kassie?

— U mnie oddawna nie ma kassy, odpowiedział wkładając okulary na nos pan Jacek; ale z percepty i rozchodu okazuje się, wedle

moich wiadomości, że powinnoby się znajdować dwa złote groszy piętnaście. Oto książka! Od lat pięciu, nigdy w kassie razem pięciu złotych nie było, dodał z wyrazem.

— Gdzież się podziały pieniądze?

— Pan rządzca wcześnie je assygnował wedle potrzeby.

— A regestra przychodów.

— Formalne, powinny być u niego; u mnie są moje dla ciekawości mojej pisane: z nich się pan także cokolwiek nauczy, niech no pan tylko tę książkę przepatrzy. Tu każda rzecz zapisana po szczerości jak była.

— Dziękuję, rzekł Ostap biorąc księgę, zrobię z niej użytek. Spodziewacie się jakich przychodów w tej chwili?

— Na dobry ład powinnyby być, odpowiedział Polakiewicz; sprzedano świeżo zboże z zapaśnych magazynów ostatnie, wynajęto flisaków.

— Pieniądze za flisów nie należą do skarbu.

— O! u nas panie należą.

— A więcej?

— Cóż? wszak to kupcy las jeszcze robią.

— Może z góry zapłacili?

— Z kontraktu widać, że wypłacać mieli częściami.

Na te słowa wpada pan rządzca zaperzony, czerwony, gniewny.

— Co to pan słuchasz, zawołał, obracając się do Polakiewicza, tego starego trutnia; to próżniak, to darmozjad; dawno go chciałem odpędzić, tylko hrabia miał litość nad nim. Będzie panu plótł duby smalone.

Stary spuścił oczy, i przywykły widać do podobnych wybryków, westchnął i zamilkł.

— Niech pan się mnie pyta, dodał Suseł.

— Cóż kiedy mi pan odpowiadać nie chcesz!

— I owszem, i owszem, ale to daremna robota. To ja jeden tylko mogę dójść sprawy; niech pan sobie darmo nie pochlebia żebyś temu dał radę. Jeśli pan mnie chcesz posłuchać.

— Czas darmo tracim panie, przerwał Ostap — ja go nie mam nadto; życzę panu zająć się zdaniem zarządu, bo ja go zaraz obejmuję. Gdzie są papiery!

— To jest moja kancelarya.

Ostap poszedł do drzwi środkowych, zamknął je na klucz, zamocował okna, i dobywszy la-

ku i pieczęć, rzekł do Polakiewicza— każ mi pan podać świecę.

— Do czego? spytał Suseł.

— Kancelaryę opieczętujemy.

— Tu są moje rzeczy i moje własne papiery.

— Rzeczy, może pan zaraz kazać zabrać: papiery tu pańskie znajdować się nie powinny; po rozpatrzeniu ich, zwrócą mu się.

Suseł wytrzeszczył oczy, chwycił się za czuprynę i pobiegł znowu do żony. Nim Polakiewicz przyniósł topniejącą łojówkę, już oboje państwo wbiegli do kancelaryi, ale piękna blondynka zmieniona była gniewem do niepoznania; drżała, trzęsła się, a głos jéj podniesiony, groźny, pieskliwie drapał uszy.

— Co to pan myśli sobie! krzyczała, zastraszyć nas czy co? zabierać! aresztować! pieczętować. Pan nie wiesz z kim masz do czynienia! Mój mąż nie jakiś tam ekonomina, któregoby można skrzywdzić bezkarnie; nam o honor nasz chodzi, nie o wasze kiepskie miejsce! Pan wiesz kto ja jestem? Ja jestem Terliczówna z domu! Mój brat jest podsędkiem, mój ojciec służy w rządzie gubernskim i chwa-

ła Bogu, sowietnikiem! Co to pan sobie myśli, że trafiłeś na lada hetki pętelki?

— Myślę szanowna pani, odpowiedział Ostap zimno zabierając się do pieczętowania, myślę, że pani wdajesz się w nieswoje rzeczy; życzę pani ustąpić. Potém można mnie będzie skarżyć, jeśli się podoba.

Pani Suślina, nakrzyczawszy jeszcze z kwadrans dobry, a widząc że to wszystko pada jak groch na ścianę, rzuciła drzwiami i wyszła; mąż milczący, sapiący został u progu; Ostap z Polakiewiczem pieczętowali tymczasem drzwi i okna.

— Dasz waćpan człowieka do pilnowania kancelaryi, rzekł Ostap do Jacka, i to natychmiast; sam zaś pojedziesz ze mną.

Stary, żwawo się ruszając, z opromienioną twarzą, zawinął się i powrócił natychmiast.

— Wójt Lebioda zastanie przy kancelaryi, ja za niego ręczę.

— A my jedziemy, rzekł Ostap wychodząc.

W sieniach już zastali starca Lebiodę, który z ciekawości, zasłyszawszy o przybyciu nowego rządzcy, przywlókł się do dworku; przy

nim opieczętowano drzwi, zostawiono go na warcie i przykazano wzbronić wywozu ruchomości pana rządzcy. Koczyk pani Suślinej już stał zaprzężony; wybierała się widać do brata i do rodziny szukając u nich pomocy przed grożącem niebezpieczeństwem. Sam pan Suseł chodził nie bardzo przytomny, niespokojny od drzwi do drzwi, powtarzajac:

— A kiedy tak, to zobaczymy co z tego będzie.

Był to pierwszy akt dramatu, który jakkolwiek pospolity, jest przecie prawdziwym dramatem: tyle w nim namiętności, tyle ruchu i życia.

Ostap odszedł pieszo z Polakiewiczem do dworu; a w drodze zostawszy dopiero z nim sam na sam, mógł się dowiedzieć o wszystkiém, bo kassyerowi usta się rozwiązały i poczciwe jego przemówiło serce.

— A panie! zawołał—daj Boże, żebyś nas poratował, choć to podobno z tego nic nie będzie. Co się tu u nas dzieje, tego opisać i wypowiedzieć niepodobna. Sodoma panie i Gomora! Ale cóż? hrabiemu było czy gadać czy nie, wszystko jedno; od niejakiego czasu jakby ogłuchł i odrętwiał. Człek bolał, pła-

kał, a pisnąć nie śmiał; jego wszystko niecierpliwiło. Bywało przyjdę do niego i pocznę, a on mnie wyprawia do rządzcy, a tu rządzca — Boże odpuść że go sądzę — pierwszy złodziej. Ot, jak go pan widział, on dziś bogatszy od pana hrabiego. Obsadził się swojemi, i z rączki w rączkę. Będzie kłopotu wiele, i daj Boże żeby się to na co zdało; bo i w sądzie powiatowym i w gubernii plecy ma, krewnych, przyjaciół i zauszników. Jaskinia nieprawości! dodał wzdychając.

—Na kogo tu z oficyalistów spuścić się można?

— Jest ze dwóch poczciwych starych sług, co bez butów chodzą jak i ja; a reszta, panie, fircyki, z westchnieniem rzekł Jacek; młodzież, krewniaczki albo jegomości, albo jejmości, albo krewni krewnych, albo kumy i szwagry!! Panu potrzeba co najprędzej pozmieniać wszystkich — fora ze dwora; rachunki im kazać poskładać, posłuszeństwo odebrać, a ratować co jeszcze nie utonęło. I to nie zwlekając, bo aby się mieli czas opatrzyć, to resztę rozchwycą.

— Po długiej naradzie z poczciwym Jackiem, Ostap rzucił się na bryczkę i pośpieszył do miasteczka.

Tu przekonał się, że w istocie ciężko mu przyjdzie z panem rządzcą dojść do końca, gdyż wszyscy niżsi urzędnicy, od których często najwięcej zależy, oddani mu byli zupełnie. Tysiące drobnych prześladowań spotykał na każdym kroku, wszystka niechęć, jaką miano do hrabiego, na niego się teraz przelewała.

Zaledwie rozgłosiło się, że nowy rządzca-plenipotent Alfreda, przybył do miasteczka, pan Ciemierka z dwoma innymi wierzycielami, zebrali się wpaść na jego kwaterę, i z odgróżkami domagać się wypłaty swoich należności. Ostap był na wszystko przygotowany;. pierwsze spotkanie z rządzcą, rozdrażniając go, wyrobiło w nim nowe siły. Miarkując swą niecierpliwość jak mógł, przyjął w progu łagodnie i z krwią zimną napastników, którzy weszli z hukiem, krzykiem i widoczną chęcią postraszenia go. Pan Ciemierka, barczysty chłop, z ryżo-siwą czupryną sterczącą do góry, brudny i rozchlastany, z ogromnym kijem, zdawał się chcieć zarówno gębą i ręką, dochodzić swego długu. Dwaj towarzysze jego, nierównie mniej pozorni, nadstawiali się tylko jak mogli. Ostap na pierwsze pytanie Ciemierki skłoniwszy się, odpowiedział.

— Kogoż mam honor witać?

— Jestem Ciemierka, Jan Ciemierka — i przychodzę tu po moje pieniądzę — słyszy pan, uważa pan!

— Słyszę i uważam; ale pan rozpocząłeś z nami proces?

— A jużciż, i puszczę tego tam grafika z torbami, odparł machając kijkiem spekulant. Nauczę go rozumu — słyszy pan!

— Za pozwoleniem, rzekł Ostap — o panu hrabi proszę przy mnie nie mówić tak lekko, bo ja go szanuję, i wiém że w głębi uczciwym jest, choć pozory mogą być przeciwko niemu.

— Pozory! mości panie!

— Mówmy o interesie, jak się o interesie mówić powinno, zimno i prosto. Proces rozpoczęty.

— I tak jak wygrany.

— Jeszcze nie, odpowiedział Ostap; oblig pański był z siódmym procentem; siódmy procent zakazany prawem. My przecie, do czegośmy się zobowiązali dopełnim, ale nim pan wygrasz, czasu upłynie dosyć, a nam tylko tego potrzeba — czas wszystko.

— To tak! krzyknął Ciemierka ze złością, to tacyście to poczciwi ludzie.

— Tylko dowód, że swoje interesa znamy, odrzekł Ostap; zaprzeczać ani długu, ani procentów nie myślim. Jeśli pan się zgodnie ułożysz, ja zapłacę.

— Jakto zapłacisz? ledwie uszom swoim wierząc spytał spekulant, a czémże zapłacisz? zkąd weźmiesz pieniędzy? albo to ja nie znam waszego położenia? Chcesz mnie oczy zamydlić! Zapłacę! słyszysz go! Banku trzy raty zaległo, podatki exekucyą wyciskają, wierzyciele krzyczą jakby ich darto ze skóry, a on mi mówi — zapłacę. A czémże to zapłacisz? Licytacya za kołnierzem.

— Co to do pana należy, czém zapłacim?

— Kiedy nie możecie zapłacić—słyszy pan?

— Zapłacim dziś, jutro, kiedy pan zechcesz, ale wprzódy zrobim obrachunek.

— Kapitał z procentami?

— Wszystko!

Ciemierka, który miał różne rachunki i rachuby, spodziewając się przy przyjaznych okolicznościach wziąść wioskę wpół darmo, skrzywił się na to i pokiwał głową.

— To być nie może, zawołał.

— Jeśli nie zapłacim w terminie umówionym, będziecie panowie licytowali.

— A więc i nam pan płaci? podchwycił drugi wierzyciel łysy, suchy staruszek w bardzo krótkich spodenkach, a wysoko podciągniętych kołnierzykach koło głowy, ślepy na jedne oko i mocno ospowaty.

— I panom! odezwał się Ostap,

— A bank? spytał się trzeci jegomość w węgierce z ogromnemi sznurami, kiwając się z krzesłem, na którem rozsiadł się wspaniale, igrając z parasolem pąsowym.

— Bank będzie pierwszą pocztą zaspokojony.

— A podatki?

— Te dziś wnoszę do kaznaczejstwa.

Spojrzeli po sobie wierzyciele, ruszyli ramionami z niedowierzaniem, a pan Ciemierka odezwał się po swojemu:

— Diabeł ich wie! cóż! miny odkopali czy co? wszystko płacą! słyszy pan! A czy pan, nowotny jeszcze, wiesz co wynoszą ciężary wszystkie na majątku hrabiego?

— Co do grosza.

— Dług przeogromny, do miljona.

— Trochę mniej.

— Zkądże to weźmiecie, kredytu nie macie.

— Jak to pan wie?

— Spodziewam się! komu ja nie dam, temu nikt nie da.

Ostap się rozśmiał, a śmiech ten szyderski zmięszał trochę spekulanta.

— Pan się śmieje?

— Muszę, choć nie mam ochoty.

— Cóż tu śmiesznego?

— To, że pan masz się za powiatowego Rotschilda,

Ciemierka miał już grubjaństwem odpowiedzieć, ale się jakoś wstrzymał.

— No, do interesu, rzekł; pokaż mi pan podobieństwo kończenia z wami, a skończę.

— Układaj się pan, a ja płacę.

— Ja chcę wiedzieć zkąd i jak pan płacisz! co to próżno gadać, płacę, płacę.

— Mnie się zdaje, że do tłómaczenia zkąd i jak płacę, nie jestem obowiązany! Na cóż miałbym się panu spowiadać z naszéj kieszeni? Jednakże zaspakajając pana, powiem mu jak stoimy; mamy osiemkroć siedemdziesiąt pięć tysięcy długów, licząc w to niedoimki, zaległe procenta, pensye niedobrane, sztrafy prawne i koszta.

— Zgoda i na 875 tysięcy; ciekawsza rzecz jak wybrniecie z nich?

— W tych, jest długu bankowego pięćkroć kilkadziesiąt tysięcy, na obu majątkach hrabiego i hrabinej.

—Niech i tak, zostaje trzykroć siedemdziesiąt i pięć: zawsze to ładna rzecz.

— Niezawodnie, zwłaszcza dla nas. Bank płacony już od lat blizko dwudziestu, znacznie więc, bo w połowie summa pierwiastkowa zmniejszona; robimy nową pożyczkę opłaciwszy zaległe raty, i na trzykroć długu naszego, zyskujemy około dwóchkroć sto tysięcy.

—Patrzaj pan! no! no! ale jeszcze sto kilkadziesiąt; tu dopiero ciekawy jestem, którędy wy z nich wyjdziecie.

— Zna pan, podpis Halperina w Berdyczowie? spytał Ostap.

— Jak mój własny, rzekł Ciemierka, albo co?

— Bo to właśnie wexel na sto osiemdziesiąt tysięcy złotych, który resztę długów uspokoi odparł Bondarczuk dobywając papier z pugilaresu i ukazując go zdumionym.

Wszyscy umilkli i gęste miny przyszłych licytantów majątku, znacznie zrzedły; Cie-

mierka mianowicie pochmurniał, zamyślił się. Ostap tymczasem chowając wexel, zapytał.

— Cóż? a zatem układamy się czy nie?

— Zapewne, że układamy się.

— I my! dodali drudzy panowie, kołnierzykowy i parasolowy.

— A ja — płacę..

Na tem skończyła się pierwsza konferencya z wierzycielami, którzy po miasteczku roznieśli zaraz wieść o przybyciu nowego pełnomocnika z ogromnym pugilaresem wexlów i assygnat.

Ostap po ich odejściu rzucił się na krzesło, chciał spocząć, ale wierzyciele drugiej klassy, żydzi, otoczyli jego mieszkanie wnosząc całe torby kwitów, kwitków i rachunków. Tu stary Polakiewicz wyręczył skutecznie Bondarczuka; on tym czasem szybko powrócił do Skały, gdzie niemniej pilne czekały go zatrudnienia, a przedewszystkiem Michalinę uspokoić było potrzeba.

Pierwsze z nią krótkie widzenie się, nie dozwoliło Ostapowi, ani objaśnić jéj stanu rzeczy,. ani powiedzieć o niespodzianych, które przywiózł pomocach; nie śmiał nic obiecywać, niewiedząc co będzie mógł uczynić.

Dziś spokojniejszy już, śpieszył upewnić Michalinę, że nikt jej nie wygna z rodzinnego kątka; spieszył poradzić się z nią, jakby zaspokoić Hercyka, którego wexel musiał być użyty na zepchnienie najpilniejszych wierzycieli.

Po powrócie z miasteczka, pobiegł Ostap do pustego jak zawsze dworu, w którym zastał hrabinę w samotnym kątku jak wprzódy, z dziecięciem tylko. Śmielszy teraz i oswojony ze swojém położeniem, odważniej stawił się przed nią; ona smutniejsza jeszcze była niż pierwéj i więcéj jeszcze zmieniona.

Mały Staś bawił się u kolan jéj, spoglądając ukradkiem na przybyłego, który jak wprzód, stanął we drzwiach i zdawał się czekać, żeby rozmowę zaczęła sama hrabina.

— Siadaj-że pan proszę, odezwała się smutnie Michalina, ileż to wdzięczności winnam panu! Ja tu nic nie wiem, nie słyszę, siedzę spokojna (jeśli w położeniu mojém spokojną być można), a pan dźwigasz za mnie, za nas, cały ciężar tych nieszczęśliwych interesów naszych.

— Nie są one tak złe i zrozpaczone, jak pani myśli.

— Pan chcesz mnie tylko uspokoić.

— Nie, mówię prawdę, braknie nam tylko sto kilkadziesiąt tysięcy, spiesznie wpadając w rachunki rzekł Ostap; summę tę mam dzisiaj, ale pomyśleć potrzeba jak ją później opłacić.

— Sto kilkadziesiąt tysięcy! powtórzyła hrabina; i mogłabym powrócić do mojego ukochanego gniazda, mogłabym zostawić je Stasiowi!

— Nietylko tamten majątek, ale Skałę i wszystko.

— Pan mnie nadto pocieszasz, być że to może?

Spojrzała na niego.—Mów pan szczerze, otwarcie, ja się nie zlęknę, odezwała się z wymowniejszém od słów, wejrzeniem.

Ostap zadrżał, pohamował się i podał jéj papier. Ona go wzięła ręką niepewną, ale nie spójrzawszy nań nawet, odłożyła go na bok.

— Ja tego nie zrozumiem, dodała po chwili; powiedz mi pan sam lepiéj co mam czynić: zrobię wszystko.

— To, czego będę zmuszony wymagać od pani, zda się jéj może tak dziwném, tak upokarzającém.

— Cóż to być może? spytała Michalina trochę zatrwożona.

— Musimy szukać sposobów wydobycia się ze stanu ruiny w jakim dziś majątek hrabiego zostaje; musimy, mówił z wzrastającą odwagą, zapewnić los pani i Stasia, to się nie obejdzie bez ofiar.

— O! jam gotowa, jam gotowa.

— Potrzeba zmienić tryb dawny życia i wszelkiego wyrzec się zbytku; wprowadzić największą oszczędność i porządek; pozbyć się wreszcie wszystkiego mniej potrzebnego, leżącego bez użytku, a mogącego mieć wartość pieniężną.

— A, pan masz słuszność! zawołała żywo hrabina wstając z miejsca: mamy nasze rodzinne klejnoty, mamy stos sreber, na których nikogo przyjmować nie będziemy, mamy drogie fraszki z lepszych czasów, posągi, obrazy; sprzedaj je! proszę, sprzedaj! Jeżeli to może uwolnić nas od wierzycieli, oddam wszystko, aż do ślubnego pierścionka.

— Może to w istocie uwolnić od najzaciętszych, ale ofiara ta, nie będzież panią kosztować za wiele?

— Kosztować! mnie! Pan mnie nie znasz! pozbycie się trochy pamiątek i dziecinnych cacek? Więcej w życiu poświęciłam nad to, dodała mimowolnie, dziś już mi nie żal niczego; tak! niczego! Oddam wszystko, byle Alfred nie wątpił, że ofiara przyszła łatwo i chętnie.

Ostap zamilkł.

— Lecz interesa, mówiła ciągle poglądając na niego, (on stał nieruchomy jak posąg, zimny na pozór, i cały w sobie), interesa są tylko mniejszą połową naszych nieszczęść. Co poczniemy z osobistemi nieprzyjaciołmi Alfreda? z biedną rodziną zabitego, która go prześladuje?

— Na to, czas jedynym ratunkiem.

— Czas! czas! odezwała się Michalina spuszczając rękę wzniesioną, wszyscy czas ten stawicie jako lekarstwo powszechne, a on— nie, on nikogo nie leczy.

— Może tylko nierychło i nie wszystkich, odpowiedział Ostap.

Zamilkli. Staś poczynał kołując, zbliżać się do przybyłego i powoli go zaczepiał; matka patrzała na to z uczuciem, i chciała widać

dojść, jakie wrażenie to dziecię czyniło na Ostapie: ale próżno poglądała; oczy jego były spuszczone, on sam nieruchomy, nie wabił ku sobie dziecięcia, zdawał się go nie widzieć.

— Stasiu! chodź do mnie, szepnęła po chwili; chodź do mnie! Jakby obudzony temi słowy i przywołany do przytomności, Ostap uśmiechnął się boleśnie i odezwał:

— Radby się poznać ze mną, a boi się mnie jeszcze. Ja tak dzieci lubię.

— Czemużeś się pan nie ożenił? spytała go Michalina.

— Właśnie, ożeniłem się, cicho odpowiedział, zwyczajnym głosem, bez wzruszenia Bondarczuk.

Na te słowa tak zimno wypowiedziane, hrabina nie umiejąc pokryć swego wzruszenia, wstrząsła się i zamilkła na długo; widać było, że cały gmach jéj marzeń runął od tego wyrazu; zebrała jednak całą moc duszy, i z uśmiechem przymuszonym, ze spuszczonemi oczyma mówiła daléj:

— A! wszak dotąd nie wiedzieliśmy o tém; ja nawet nie powinszowałam panu. Pan się pozwoli spytać, któż to jest, kto jest ta....

— Moja żona, rzekł Ostap, jest chłopką jak ja.

Michalina wzięła się za głowę, głosu jéj zabrakło i nagle wstając: — Pozwolisz mi pan odejść, trochę mi słabo, głowa mnie boli.

Ostap zniknął.

Trzebaż malować stan duszy Michaliny?

Ona dotąd wierzyła w przywiązanie, w niezachwianą miłość tego człowieka, który żył na pustyni z myślą o niéj, z pamiątką kilku godzin przeszłości; ta wiara trzymała ją przy życiu, była podstawą wszystkich jéj marzeń, jedynym węzłem co ją łączył ze straconą, a drogą młodością—téj wiary wyrzec się musiała. On się ożenił, a więc ukochał inną; nie był takim, jakim go sobie wyobrażała, wiernym i milczącym w cierpieniu człowiekiem; ale pospolitém stworzeniem, które dziś kocha, zapomina jutro, i mieni się nieumiejąc wytrwać, bo nie umié kochać. Ideał Michaliny, nagle w jéj oczach spadł z téj wysokości, na któréj go zawiesiła, i kruchym stawał się zlepkiem. Im dłużéj karmim w sobie jakie uczucie, przekonanie, pojęcie, tém cięższéj potém się z niemi rozstać; i długo człowiek o-

czewistości nawet się opiera, z prawdą walczy, fałszem żyć woli, niż wyrzec się tego co już część jego istoty stanowi. Jest to stary pewnik, który tylko przypomnieć chcieliśmy.

Tak właśnie było z Michaliną, która w obec zmiany jaką jedno jego słowo we wszystkich jéj najdroższych robiło marzeniach, słabnąc i nie mając odwagi uwierzyć, puszczała się w najdziwniejsze domysły i przypuszczenia. Jednego tylko prawdziwego powodu ożenienia Ostapa, domyślić się nie potrafiła. Przeczucie mówiło jéj, że ożenić się nie mógł z miłości, bo głos jakiś wewnętrzny powtarzał jeszcze że ją kochał tylko; jakże, dla czego bez przywiązania, zimno, rozmyślnie, mógł się tak poświęcić, skrępować, zaprzedać? To przechodziło jéj pojęcie: czuła tajemnicę i postanowiła ją rozgmatwać. Dziecię, mąż, dolegające nieszczęścia, wszystko na raz znikło z jéj oczów. Ostap tylko, Ostap żonaty, Ostap mąż innéj kobiety, stał przed nią jak niepojęta zagadka. Dla czego to uczynił? kto była ta kobieta? Jeśli to prawda? jestli on szczęśliwy? Tysiąc zapytań zadawała sobie, a żadnego nie umiała rozwiązać; za tym wyrazem wyrzeczonym tak zimno, tak

obojętnie, tak nielitościwie, dla niej były tylko drażniące ciemności.

A w sercu! co za niepokój! Uśpiona namiętność przywykła żyć marzeniem, która się oparła latom rozłąki, czułym męża uściskom, nawet uśmiechom dziecięcia; teraz gorętsza boleścią, stała się gwałtowną, niepohamowaną, przeszła prawie w szał i obłąkanie.

To co ją miało uleczyć, powiększyło tylko cierpienie. Zapomniała o wszystkiem, wrzała swym bolem jedynym i odpychając Stasia, powtarzała nieustannie: więc on mnie nie kochał! i życie moje stracone!

Długie lata pożycia z Alfredem, w ciągu których, z anielskiem poświęceniem spełniała obowiązki żony, udając przywiązanie i starając się o nie, choć dotąd z zimnego szacunku i przyjaźni wyjść nie mogła; przywyknienie do ofiary, rezygnacya dawna, wszystko się zapomniało w jednej chwili i uleciało na jednem słowie.

Pragnęła go widzieć, zbliżyć się, zajrzeć w skrytości jego duszy i przekonać się dotykalnie o swojem nieszczęściu; tysiące domysłów niepokoiły ją i uspakajały: całą noc prze-

trwała w niecierpliwém rozmyślaniu. Pomimo dobroci serca i przywiązania do niego, wolała widzieć go cierpiącym niż szczęśliwym, bo czuła że miłość którą dla niego zachowała, nagradzała te boleści.

Dzień wschodzący zastał ją jeszcze w zamysłach, rozognioną dumaniem, zmęczoną, wyglądającą tylko zręczności aby się zbliżyć do człowieka którego zbadać postanowiła. Wdzięczny ranek wiosenny, potrzeba ochłodzenia się i odetchnienia powietrzem swieżém, rosą oblaném, wywiodła ją do ogrodu.

Dawniéj było to także miejsce jéj dumań spokojnych; ale jakaż różnica wczorajszych wspomnień w niebieskiéj szacie, od dzisiejszych płomienistych domysłów i życzeń! Namiętność jéj wzrosła, stała się gwałtowniejszą i trudniejszą do pohamowania, usta drżały otwierając się na zapytania, oczy zachodziły łzami.—Tak się zawieść! tak się omylić—a potém, wołała łamiąc ręce—nic nie zostaje tylko spuścić głowę i umrzéć.

Weszła w ciemną ulicę grabową, i nie widząc nic przed sobą, poczęła ją przebiegać krokiem żywym; słońce jeszcze nie było we-

szło, mgły unosiły się nad rzeką spokojnie płynącą parowem, liście drzew okryte rosą kroplistą, lśniły się w światłach żywych poranku: głęboka cisza rozściełała się jeszcze dokoła, jak gdyby noc jeszcze swéj stopy nie zdjęła z ziemi. Ogród przedstawiał smutny widok zniszczenia: opuszczony, zaniedbany, był zieloną ruiną, równie przynajmniej smutną jak czarne i czerwone mury upadłych gmachów. Ścieżki opanowały trawy i chwasty, na drzewach poobcinano gałęzie; niektóre z nich leżały obalone, posiekane, resztą liści skarżąc się na odebrane życie. Tu i ówdzie, z głębi łodyg bujnych pokrzywy, ostów, łopuchu, wystrzelał dawniéj pielęgnowany kwiatek, wyciskając się mdły i osłabły z kryjących go chwastów obsłony. Zamiast wijących się ścieżek wśród zielonych trawników, wydeptane drożyny świadczyły, że ogród stał się własnością wszystkich, że nikt szanować go nie myślał, każdy używał jak mu było lepiej. Tam trochę pokoszonéj trawy, ówdzie zapędzone bydło, daléj spętany koń, i wiązka drewek świeżo narąbanych z liśćmi jeszcze gdzieniegdzie wystającemi, uderzały w oczy: ale hrabina nic widzieć nie mogła, nic nie widzia-

ła oddawna. Suknia jej czepiała się po ostach, obrywała na gałęziach; włos rozplątywał spiesznym pochodem; a po twarzy biegły dwie łzy gorące, choć łez tych nie czuła.

Dziwnym trafem, (choć w powieściach, równie jak w życiu pospolitém nie bezprzykładnym), na końcu ogrodu, po za tą ulicą grabową, po całonocnéj pracy, usiadł także Ostap odetchnąć na obalonéj kłodzie, sparty o mszysty pień dębu. Cierpienie i trud odjęły mu sił ostatek; przyszedł, a raczéj przywlókł się tutaj i sam nie poczuł jak sen któremu tyle nocy był dłużny, objął go skrzydły swojemi i zamrużył powieki.

W biegu, prawie nieprzytomnym, hrabina przysunęła się tak blizko do powału na którym spoczął Ostap, że suknia jéj zaczepiła się o wystającą od niego gałąź; inaczéj możeby go była nie postrzegła. Zwróciła dopiéro oczy, zobaczyła go; długo nie mogła sobie wytłómaczyć zjawiska niespodziewanego, i stanęła nieruchoma topiąc w nim niespokojne wejrzenie, błagające, badawcze. Zdawała się go pytać:—Powiedz, jestżeś ten sam co dawniej?

Ostap spał z chmurną twarzą, z wpadłemi oczyma, blady, zmęczony, cierpiący; ciężki oddech wyrywał się z jego piersi, i znać było po ruchach konwulsyjnych, że i we śnie dokuczało mu życie; kołatała do niego rzeczywistość.

— Nie, nie, zawołała hrabina przyciskając ręce do piersi, nie — on się nie odmienił, on cierpi dla mnie, on mnie kocha. To tajemnica może, to pewnie kłamstwo. Tak! to kłamstwo, dodała rada swéj myśli — on mnie niém chciał odepchnąć, bo się domyslał mnie.

Na kolanach Ostapa leżał papiér: był to list do Alfreda, który on odczytywał mając go wysłać dnia tego. Nie wiedząc co czyni, nie zastanawiając się nad niestosownością swego kroku, hrabina porwała go z pod rąk śpiącego, i zapłomieniona uciekła w głąb ulicy: on się nie przebudził.

Zaledwie kilka kroków odszedłszy, Michalina stanęła czytać; serce jéj biło, w oczach przebiegały iskry: chwytała litery i słowa, a myśli długo pochwycić nie mogła. List poczynał się od zimnego wykładu stanu interesów, od pociech, od doniesień i trochy wy-

rzutów na dziwne zaniedbanie, w jakiem wszystko zostawił Alfred; potem pisał Ostap:

,,Czynię co mogę, com powinien; ty jeden znasz tylko może jaki ciężar wziąłem na barki; niewidomy dla wszystkich, mnie on ugniata tak, że nie wiem czy żyję, czy wytrwam. Nie myl się kochany Alfredzie, ciężarem tym nie są poruczone mi sprawy, i majątek; inny on wcale, a położenie moje łatwo ci go wytłómaczy. W ostatniej naszej rozmowie, przekonałem się żeś to przeczuwał, żeś się tego domyślał. Na cóż mam taić przed tobą? ja ją czciłem i kochałem, jak nikt nikogo podobno nie kochał na ziemi; czystemu jéj wspomnieniu poświęciłem życie, wyrzekając się świata, aby żyć marzeniem tylko. Tyś nielitościwie rozdarł moje niezagojone rany—i krew płynie.

Biada ci Alfredzie! tyś nie był jéj godnym, boś jéj szczęśliwą uczynić nie potrafił; widzę łzy jéj, widzę smutek i czuję że ta dusza pragnie więcej niżeli jéj dać możesz. Twoja wina. Tyś jéj nie otoczył takiem, na jakie zasługiwała staraniem, miłością, czuwaniem, czcią—tyś w nią nie wierzył, tyś niedość pra-

cował dla jéj szczęścia. Dziś zostawiona sama sobie i w takiém położeniu! a ja na to patrzę!

Lecz nie obawiaj się o skarb swój; nigdy przyjaciel, czuję to, godniejszym nie był zaufania nademnie, choć nigdym może większéj nie zrobił ofiary. Jam tu sługą, ja tu jestem Ostapem twoim poddanym; i nim tu przybyłem, między memi wspomnieniami a rzeczywistością, postawiłem nową żelazną zaporę: skalałem się umyślnie—ożeniłem się. Ty nie wiesz, ty nigdy wiedzieć nie będziesz, com ja dla ciebie uczynił."

Michalina nie czytała więcéj, dwie tylko myśli w uszach jéj i sercu tętniły: on się ożenił w istocie, on się ożenił umyślnie. Upuściła list, podniosła go, pobiegła ku śpiącemu, rzuciła pod jego nogi i chyżo skryła się w drzewa starego ogrodu.

Uczucia jéj któż potrafi odmalować? Nie ja.

W sercu człowieka, jak w świecie cieleśnym, uczucia są barwami: kilka ich składa całą gammę światła, ale nieskończone są ich odcienia, kombinacye i przemiany. Wyrazy języka jak ołówek rysownika, ledwie potrafią

zebrać tych uczuć główne kształty, wszystkie się szaro i ciemno malują pod niecierpliwą ręką, która żywego życia odtwarza tylko suche formy.

Ranek był już gorętszy i słońce podniosło się wysoko, gdy Ostap się przebudził, więcéj snem znużony, niż wypoczęty, i zobaczył list u nóg swoich; pochwycił go i szybkim krokiem pospieszył ku dworkowi w którym mieszkał.

Niezwyczajna wrzawa słyszeć się dająca zdaleka na wsi, obudziła jego uwagę; czuł jakiś dziwny wypadek, którego jeszcze zrozumieć nie mógł. Widać było dokoła ludzi gromadnie zbierających się w ulicy i tłumami bieżących ku dworowi, dziedziniec już prawie ich był pełen; a krzyki i wrzaski dzikie dochodziły coraz wyraźniéj uszów Ostapa.

Skierował się szybkim krokiem ku miejscu, gdzie wszystek lud zdawał się gromadzić. Cała wieś była już tutaj z oznakami rozognienia, pałająca jakiémś uczuciem nienawistném, skupiona, dodając sobie odwagi do jakiegoś kroku rozpaczy. Twarze wieśniaków chmurne były: straszne oczy ich zakrwawione, włosy

rozrzucone, a w ręku topory, kosy, grabie i cepy wydawały się, jak broń pochwycona na nieprzyjaciela, nie jako narzędzie pracy spokojnej. Nim doszedł do podwórza, spotkał Ostap uciekającą, prawie obłąkaną Michalinę, która oddając mu syna, z wzrokiem nieprzytomnym, zaledwie wymówić mogła: — ratuj nas! ratuj nas! i upadła zemdlona. Kobiety pośpieszyły ją cucić. Bondarczuk zostawił im dziecię, i nietracąc chwili wypadł przeciwko rozjuszonemu już pospólstwu, które łamiąc drzwi folwarku i grożąc podpaleniem, domagało się wydania w ich ręce ekonoma.

Niezważając na niebezpieczeństwo, na stan zburzonego ludu, Bondarczuk skoczył wprost ku folwarkowi, który ludzie otaczali, i odpychając tych co drzwi łamali, zawołał głosem potężnym, rozkazującym i silnym:

— Precz ztąd!

Chłopi spójrzeli na niego, kilku się zastanowiło i przywykli do posłuszeństwa już odsunąć się mieli, gdy dwóch czy trzech więcej rozognionych i zajadlejszych, popchnęli go i z podwojonym krzykiem, dobijać się zaczęli wołając:

— Dawajcie nam tego psa! dawajcie nam tego łotra, a nie, to spalim! spalim! zniszczym!

Pierwszemu który z siekierą stał u drzwi, Ostap wyrwał ją i pewien siebie, krzyknął raz jeszcze gromiąc ich:

— Ustąpić ztąd natychmiast! mówcie czego chcecie! poco ten rozbój i gwałt! Niech wystąpi kto ma krzywdę i niech mówi.

— Precz ty sam! krzyknęli niektórzy.

— Posłuchajcie no jego, odezwali się powolniejsi.

— Drzwi wybijać.

— Kto się posunie ku drzwiom, tnę go przez łeb jak rozbójnika, jak mi Bóg miły! zawołał Bondarczuk; stójcie i mówcie mi czego chcecie.

Kilku obłąkanych jeszcze się sili, pomimo reszty, dokazać swego; ale tłum opamiętywał się już powoli, popychano się łokciami, odtrącano na bok upartych, jedni drugim poczęli odbierać topory i cepy, i kołem wszyscy otoczyli Ostapa.

— Co to jest? mówił do nich Bondarczuk,

czego przyszliście tutaj jak zbójcy? Wiecie wy coście zrobili? wiecie wy co to jest wyrzec się sprawiedliwości i samym ją sobie robić? Cóż to? Czy nie ma sprawiedliwości na świecie, żebyście ją sobie przeciw prawu robili, burząc się jak dzieci swawolne?

— A nie ma! nie ma sprawiedliwości! odpowiedział stary Jakim podnosząc pięść groźną, myślicie żeśmy sto razy nie szli na skargę do pana? Odesłał do rządcy; odesłał do ekonoma! Dobra sprawiedliwość! a to nasz ciemiężyciel i łupieżca.

— Póki cierpieć było można, cierpieliśmy, dopóki stało sił robiliśmy; kiedy Bóg i ludzie o nas zapomnieli, cóż robić — trzeba zostać rozbojnikami. Zabijem gadzinę, niech i z nami będzie co chce.

— I to ty stary, siwy, coby cię wiek rozumu powinien nauczyć, tak mówisz Jakimie! rzekł Ostap. Wstyd! wstyd! tobież-to psuć własną sprawę. Alboż to przyczyna wam, źle robić, że drudzy źle robią; i że oni niesprawiedliwi są, wy chcecie gwałt czynić nad niemi!

— Chcemy i zrobimy! zawołali niektórzy —

niechaj bestya pocierpi choć. I ruszyli się znowu do drzwi.

— Słuchajcie, rzekł Ostap, a potém zrobicie, nie jak was szatan natchnął i źli ludzie, ale jak wam Pan Bóg przykazał. Ja jestem chłopem jak wy, cierpiałem jak wy, i znam co cierpieć można.

— Ty nie wiész, co oni nad nami robili, jak przewodzili.

— Dajcie mi mówić; powiécie potém, a ja wam ręczę, że to bezkarnie nie ujdzie. W każdym kraju jest opieka, sąd i prawo dla wszystkich; tam znaleźlibyście sprawiedliwość gdybyście jej cierpliwie szukali; kto ją sam sobie wymierza, ten już winien, bo nie wierzy w sprawiedliwość prawa. Jest nad wami opieka; wyście ludzie: dzikie tylko zwierzęta mszczą się, bo nie wiedzą co porządek, prawo i sprawiedliwość. Kto może być sam sędzią w swojej sprawie? Jeśli Jakim zajdzie z Pawłem w spór o łąkę czy o ogród czy o szkodę, albo się sami sądzić będziecie? Nie — prosicie sąsiadów, starszyznę. A tu w ważniejszéj daleko sprawie myślicie siłą robić sobie sprawiedliwość—a godziż się to tak?

— Albo to my nie chodzili na skargę, albo to nie udawali się do sądu. A cóż, u sądu zawsze chłop będzie winien, wybiją go i odpędzą.

— Nieprawda, moi bracia, nieprawda; nikt wam nie broni szukać sprawiedliwości wyżéj i wyżéj, dopóki jéj nie znajdziecie; a znaleźć musicie. Ale wam często w głowie próżniactwo, a narada próżniaków w karczmie, licha warta; wódka nigdy nic dobrego nie poradzi. Dziś wam trochę lżéj i lepiéj; chcielibyście nic nie robić, to być nie może: człowiek tyle tylko wart ile pracuje. I zamiast pracować, rzuciliście się do gwałtu, zostaliście zbójcami; myślicie przewodzić, i krzywdę jeśli była, płacić krzywdą! Źle, bardzo źle. Lepiéj być skrzywdzonym niż zbójcą i gwałtownikiem. Wiecie do czego mogło was doprowadzić wasze szaleństwo? oto do przelania krwi ludzkiéj, krwi braterskiéj.

— Albo to oni nam bracia?

— Alboż nie?

— A to — lachy!

— A lachy i rusini, alboż to nie bracia? spytał Ostap, język prawie jeden, wiara chrze-

ścijańska; i nie oni winni że ich Pan Bóg uczynił bogatszemi od was i w lepszym stanie postawił. Pracujcie i wy, uczcie się, a dziś nikomu nie zaparte drogi; możecie i wy jeśli wam ten stan niemiły, wynijść z niego i dopracować się innego. Albóż to ojcowie tych panów, nie wyszli także z pracowitych ludzi? Zresztą, któż to jeśli nie Chrystus Pan powiedział, że wszyscy ludzie są braćmi?

—Prawdę mówi—powiedzieli niektórzy; inni potrzęśli głowami i rękoma.

—Za skrzywdzonym i Pan Bóg i ludzie; przeciwko zbójcy i gwałtownikowi wszyscy. Zrobiłaż wam kiedy co złego wasza dobra pani, albo niewinne jéj dziecię?

—Nie! nie! krzyknęli ludzie—to dobra pani—co prawda to prawda, my ją szanujemy, my ją kochamy, to matka—ale co ona może?—nic!

—A jednak, o małożeście i jéj nie zabili!

—My! my! kto? chroń Boże! to być nie może! nie! nie!

—Tak jest! Pani wasza przelękła się téj wrzawy, leży bez ducha; dziecko ze strachu

może boleć całe życie — godziż się to tak czynić?

— Dajcie nam tylko tego szelmę ekonoma, a my pójdziemy.

— Ekonoma wam nie dam, boście wy nie sędziowie, ale do sądu go odstawię, rzekł Ostap. Wy, rozejdźcie mi się natychmiast do domów, a starszyzna tylko niechaj zostanie, żeby mi opowiedziała, z czego to wszystko powstało i jakie macie krzywdy.

— Nie chcemy! nie chcemy! zawołali dalsi— ekonoma z sądu puszczą i nic mu nie będzie, on się opłaci; tam nie ma sprawiedliwości. Oddajcie jego nam, oddajcie go, a nie, to spalim!

— Kto mówi o spaleniu! zapytał Ostap.

Wszyscy zmilkli.

— Kto chce ekonoma?

— My! my! powiedzieli dalsi.

— Któż to chce się nad nim pastwić? spytał jeszcze.

Chłopi spójrzeli jeden na drugiego i nikt się nie odezwał.

— Widzicie, mówił Ostap, żaden z was

w sercu nie jest zbójcą, choć jedni drugich podżegacie i psujecie. Wstyd! wstyd wam! Ekonoma ja sam odwiozę do sądu i zaręczam wam, tak jakem wasz brat, że dopilnuję aby mu nie pobłażano. Do domów!

—Nie pójdziemy póki go związanego nie zobaczym!

—Mówiłem i powtarzam, że go wam ani oddam, ani pokażę. Jeśli winien, będzie ukarany, ale nie przez was; wasza rzecz powiedzieć co zrobił, sądu, wymierzyć co mu należy.

—My tak nie chcemy!

—A inaczéj nie będzie! Jeśli nie rozejdziecie się natychmiast spokojnie, każdy będzie winien gwałtu, każdy co tu rękę podniósł, bez względu na to co cierpiał, srodze zostanie ukarany. Ekonoma sami uniewinnicie; powié na was żeście niespokojni, nieposłuszni ludzie i sąd mu uwierzyć będzie musiał.

Wieśniacy poczęli się namyślać i szeptać, niektórzy nawet namawiali po cichu do rozejścia.

—Mówiłem i mówię, rzekł Ostap, jestem jak wy chłopem, znam wasze życie bo żyłem

niem długo; wiem krzywdy wasze i nie dam ani was pognębić, ani też bezkarnie przejść występnemu. Ale ja piérwszy, wolałbym być zabitym, niż zabójcą.

— Prawdę mówi, odzywali się młodzi, niech go tam czy ludzie czy Pan Bóg ukarzą, my rąk nie walajmy.

— Tak! tak! zawrzał któryś starszy, a nasze krzywdy? a nasze łzy? a nasze nieszczęście, to, to ma pójść z wiatrem?

— A Pan Bóg? spytał Ostap, czyż to wy i w Pana Boga i w Jego sprawiedliwość nie wierzycie?

— Pan Bóg daleko, odparł jeden poczynając przysłowie.

— Pan Bóg wszędzie, przerwał Bondarczuk: idźcie do domów; ja wam ręczę, że to bezkarnie nie ujdzie ekonomowi; starsi niech zostaną ze mną.

Lud znacznie już złagodniał i niektórzy już do domów sami wynosić się poczynali; jeszcze tylko zażartsi wahali trochę, ale i ci ujrzawszy rozpływający się tłum, obawiając pozostać sami, wszyscy powoli odeszli. Kilku nawet starszych, którym zostać kazał Bondarczuk,

bojąc się by nie uchodzili za naczelników zawichrzenia tego, wysunęli się za innemi.

— Ale pamiętajcie, rzekł za innemi odciągając stary Jakim do Ostapa, wyście krew nasza, nie zdradźcie swoich.

— Nie zdradziłem i nie zdradzę nikogo, odpowiedział Ostap; żal i szał zdradziły was najgorzej. Obronię was jak potrafię; nigdy jednak zupełnie. Kto sam sobie chce robić sprawiedliwość, porywa się i przeciwko prawa, które depcze, i przeciwko całemu światu co je szanuje: mądrzejszym i lepszym robi się od wszystkich; prawo i ludzie upokorzyć i upamiętać go muszą. Winien ekonom i odpowie, ale winniście i wy, żeście nad nim znęcać się i mścić chcieli.

— To nie ja! rzekł skrobiąc się Jakim, ja poszedłem za drugiemi.

— Ani ty, ani drugi nie winien sam, winni potroszę wszyscy; upokorzcie się, siedźcie cicho, a sprawiedliwość przyjdzie dla wszystkich. A pamiętajcie, że gdyby nie ja, bylibyście popełnili kryminał, zabójstwo; mogliście i panią waszę, którą kochacie, i dziecię jej o śmierć przyprawić. Nie tyle ekonoma,

co was, od was samych broniłem. On byłby uszedł, a wy rozjuszeni bylibyście dopuścili się zbrodni.

Stary spuścił głowę i odszedł zamyślony.

Ostap ruszył do dworu; spieszył uspokoić hrabinę, którą z omdlenia ledwie otrzeźwiono. Z dziecięciem przyciśnionem do piersi, z oczyma wlepionemi w podwórze, na którem, odgrywał się ten dramat, coby się był bez Ostapa krwią może i płomieniem skończył; siedziała odtrętwiała w bojaźni o Stasia, o siebie i o śmiałego swego obrońcę.

Duch w nią wstąpił, gdy ujrzała, jak lud cudownie uspokojony jego mową, poprzestał dobijać się do folwarku, a nareszcie powolnie ustąpił z dziedzińca. Niemem tylko wejrzeniem powitała Ostapa, i w milczeniu podała mu rękę, której Bondarczuk zaledwie śmiał dotknąć.

— Każ pan zaprzęgać, odezwała się przemawiając z trudnością; nie mogę tu dłużej pozostać, odjadę z dziecięciem do siebie.

— Nie sądziłbym, żeby to było potrzebném, rzekł Ostap, bo mogę zaręczyć za spokojność ludzi; oni panią kochają.

— To są niewdzięczni! zawołała Michalina.

— Nie dla tego, że to są bracia moi, odezwał się Bondarczuk, ale ich bronić muszę. Oni nie są niewdzięczni; kochają panią i pamiętają dobrze coś dla nich czyniła, żeby ich ciężką dolę osłodzić; ale cóż dziwnego, że ich długa niesprawiedliwość i krzywdy do rozpaczy chwilowej przywiodły.

— To są dzikie zwierzęta!

— Tak pani! każdy w chwili szału jest dzikiem zwierzęciem; ale nie godziż się im wybaczyć?

— Wybaczyć! o trudno! trudno!

Ostap zamilkł.

— Lękać się pani nie masz czego zupełnie, rzekł po chwilce, lecz jeśli rozkażesz?

— Wyjadę, o! wyjadę.

— Dam więc rozkazy do wyjazdu.

Michalina spójrzała na niego oczyma łzawemi, przeprowadziła go wzrokiem i nic już nie rzekła.

— Odjadę, mówiła do siebie, nie z bojaźni o siebie, ale dla niego. Będzie mniej cier-

piał straciwszy mnie z oczów, lżej mu będzie samemu.

Bondarczuk pobiegł po konie, razem i do ekonoma, który w śmiertelnym strachu krył się jeszcze pod strychem na folwarku. Trzeba go było, unikając powodu do nowych zaburzeń, wyprawić z majątku, a nie dozwolić mu uciec; Bondarczuk bowiem postanowił dopilnować, aby go osądzono ściśle, i jeśli był winien, ukarano.

Znalazł pana Kminkiewicza wyglądającego z wierzchołka drabiny na poddasze prowadzącej, dopytującego się wszystkich, nawet tych, których nie było:

— A co? czy już poszli?

— No proszę, jakie chamy zuchwałe! A co, są oni tam jeszcze?

I tak na przemiany pan Kminkiewicz, to im groził, to się o nich dopytywał. Dam ja im bunt! dam ja im zuchwalcom! A nie wracają oni tam?

— Schodź Waćpan, rzekł Ostap prędko, siadaj na przygotowaną bryczkę i jedź do miasteczka, tam czekaj na mnie. Zobaczymy co

z panem zrobim. Dwóch ludzi dodanych pilnować cię będą.

— Byleby mnie panie, te chamy na drodze gdzie nie zastąpili.

— Nie zastąpią.

— Choć dalibóg proszę pana, ja nie wiem czego oni odemnie chcą? co ja im winienem? Zwyczajnie chamy, to bo ma zawsze do buntu ochotę.

Ostap milczał.

— Ej proszę pana, ciągnął dalej pan ekonom, czy oni tylko poszli? bo jakby oni mnie złapali, to już wiém, że mnie nie darują.

— Spiesz się Waćpan.

— Ale jak oni mnie złapią, rzekł złażąc po drabinie powoli Kminkiewicz, ja mam żonę i dzieci.

— Nic ci się nie stanie; oto są ludzie i bryczka, ruszaj do miasteczka.

— A dzieci, a żona.

— Oni tu zostaną, ja za nich ręczę.

Ekonom poskrobał się w głowę, obejrzał do koła, i wyszedł z folwarku w podwórze, tchórzliwie poglądając wszędzie; wreszcie od-

mieniwszy zwykły swój strój zieloną bajową kapotę, na czarny surdut, aby go niełatwo poznano, siadł na wózek i konie ruszyły.

Już też i hrabina wsiadała do powozu, a Ostap dla bezpieczeństwa jéj, przeprowadzał idąc pieszo przed końmi. Schowana w głąb karety, osłoniona cała, zdrętwiała i smutna, jechała Michalina ze Stasiem na kolanach: wszystko jéj było jedno gdzie będzie, myśl i uczucie zabierała z sobą.

Lud z podwórza rozszedłszy się na wieś, powoli ściągać począł ku karczmie, gdzie gromada ze starszyzną naradzała się nad tém co zrobiono, i co zrobić wypadało. Wszystkie twarze były chmurne, i jak zwykle po wielkim wysiłku, smutne; jedni na drugich zwalali winę, czynili sobie wzajemne wymówki i uznawali wszyscy, że się nadto i nieroztropnie unieśli, potrzeba było myśleć jak się ze złego kroku ratować. Starsi obwiniali młodszych, młodsi wymawiali się przykładem starszyzny; ostre wyrzuty i połajania słyszeć się nawet dawały. Chłopak ze dworu wpadł wśród tego zgiełku, z oznajmieniem, że pani wyjeżdża ze Skały.

Na tę wieść, powszechne strapienie odmalowało się na twarzach wszystkich. Michalina była opatrznością ubogich, chorych i nigdy nie odprawiła nikogo bez porady, pociechy lub pomocy. Odjazd jéj zasmucił gromadę, i wszyscy jednogłośnie postanowili biedz naprzeciwko pani, aby ją błagać żeby z niémi została.

Powóz był w połowie wioski, gdy gromada spotkała go, idąc naprzeciw w milczeniu, z głowami odkrytemi. Michalina, instynktową jakąś ciekawością powodowana, zobaczyła ludzi, krzyknęła bojaźliwie i kazała woźnicy pośpieszać. Ale nie było podobna: tłum otoczył konie i powóz, kilku starszych zbliżyli się do drzwiczek.

— Czego wy chcecie odemnie? zawołała hrabina strwożona, co ja wam winna?

— A! pani, rzekł piérwszy, co my jasnéj pani winni, że chcecie uciekać od nas? Nasi dziadowie służyli dziadom twoim, nasze dzieci dzieciom twoim będą wierne; czegoż wy porzucacie nas z gniewem? Czy my to nieprzyjaciele, czy co?

Michalina nie zrozumiała nawet, i w ciągłym strachu wołała tylko:—Ruszaj—ruszaj!

— Pani! kochana pani! zostań z nami, wołali wszyscy—przysięgamy ci że będziemy spokojni; to łotr ten ekonom przyprowadził nas do rozpaczy, ale my i sami wiemy żeśmy źle zrobili; przepraszamy cię, daruj nam i powróć.

Ostap zbliżył się do karety.

— Czy pani się nie dasz uprosić? spytał.

— Czegoż oni chcą? żebym z niemi została? To mówiąc badające spójrzenie rzuciła na Ostapa, jakby się także pytała, czy ma pozostać w Skale.

— Uczynisz pani co się jéj podoba; ja mówię za niemi, bo widzę w nich swoich, widzę siebie. Oni proszą szczerze.

— A jednak ja się ich tak boję! cicho szepnęła Michalina, tuląc i dziecię do siebie i głowę do dziecięcia.

Po chwili namysłu, odpowiedziała powolnie—Więc wrócę, choćbym nie powinna.

— Tak, rzekł do siebie Ostap oddalając się—ani ona pozostać, ani ja ją prosić żeby pozostała, nie byłem powinien. Ale! stało się.

Powóz toczył się już ku dworowi nazad,

tłum uradowany podrzucał czapki wołając:— Daj Boże zdrowie naszej pani, daj jej Boże długie lata! To matka nasza!

Wieczorem musiał Ostap z powodu rannego zaburzenia, sam badać ludzi o nadużycia, rozbrajać ich łagodnemi słowy, jeszcze wrzące namiętności ukołysać, pocieszać, uspokajać i przygotować do sądowego śledztwa, które wywoływało i postępowanie ekonoma i gwałt na jaki się porwali ludzie. Gdy starsi zwołani zostali, gdy wywołując jedne po drugiej z pamięci wszystkie krzywdy na które przyboleli, znowu rozżarzyli w sobie gniew, oburzenie i rozpacz; ileż to potrzeba było pobłażania, cierpliwości, wyrozumiałości, rozumu, żeby ich uspokoić i wyrozumieć prawdę, tak łatwo zmieniającą się w ustach cierpiących!

Zajęty lub udający mocno zajętego obowiązkami swemi, Ostap unikał widywania się z hrabiną; ona już nie szukała go także. Raz we dwa dni, we cztery nawet, spotykali się kłamiąc najniezręczniej zobojętnienie: on sługi grając rolę, ona pani. Lecz ileż razy w roz-

mowie, wejrzeniu, postawie, budziło się uczucie ukryte i ukrywane z obustron! Czasem rozmowa schodziła nieznacznie z pospolitej i oklepanej na poufalszą i serdeczną. Michalina zapominała prędzej o postanowieniu, i z podziwieniem chwytała się za daleko zaszedłszy, zwracając z przestrachem na pierwsze stanowisko.

Interesa rozwiązywały się powolnie, i trudno było rozgmatwać ten kłębek tak długo plątanych nici, ręką złych i nieopatrznych. Suseł niewidzialny, podżegał wierzycieli, nasyłał żydów, namawiał oficyalistów, upraszał sądowych przyjaciół, i pracował gorliwie nad zrażeniem Ostapa. Każdy inny, byłby wśród tych prześladowań, i głowę i ochotę stracił: on wytrwał. Stary Jacek Polakiewicz, po długim wypoczynku wracając do czynnego życia, jeden pomagał dzielnie nowemu rządcy; dziwne jego regestra i dziwniejsza pamięć, na każde zapytanie dostarczały odpowiedzi. Administracya dawna majętności była najplugawszą ruiną: wszyscy kradli najbezczelniej; oficyaliści byli we współce z arendarzami, arendarze z kupcami, kupcy z rządzcą, rządzca z wierzycielami. Te wielkie koło szachrajów

i złodziei, całe trzymało się za ręce. Na każdym kroku Ostap spotykał kradzież, lub ślady jej widoczne: wszakże i tu tak smutny stan z pewnych względów przydał mu się na cóś: kredytorowie którzy różnemi tytułami trzymali posesye, nadania, kontrakty smołowe i t. p. tyle ich nadużyli, że groźba szczelnego rachunku zniewalała teraz do kończenia interesów co najrychlej, i o ile być mogło najdogodniej dla nowego rządzcy. Gdy Suseł i jego przyjaciele postrzegli, że z Ostapem ani groźbą, ani prośbą nic nie podołają; gdy policyjne przyczepki odepchnął zwycięzko, a mocny znajomością urzędników wyższych, oparł się czepiającym go niżnikom; powoli pomiarkowano że trzeba inaczej dawać sobie radę. Suseł który początkowo miał plan pewny, usiłując wypędzić Ostapa a powrócić nazad do Skały, przekonał się, że z tego nic być nie może, i nietylko sam się zląkł o swoje rachunki, ale i drugich postraszył.

Ciemierka niewezwany przybiegł już sam traktować w imieniu swojem, innych wierzycieli i nawet P. Susła. Powierzono mu wszystko, spodziewając się, że jeśli nie wydrwi to załaje, jeśli nie postraszy to oszuka.

Ostap przeczuwając te odwiedziny, od dni kilku był do nich przygotowany. Wiedząc, iż rachują na to, że nowym był tutaj i mało o czém wiedział jeszcze, starał się wszystkich wyuczyć szczegółów, spamiętać je, zebrać, uprzytomnić sobie; słowem, uzbroił się do boju, stawiąc na przypadek w odwodzie, Jacka Polakiewicza.

— No! a cóż z nami będzie? spytał p. Ciemierka wchodząc i rzucając się na kanapę.

— Jak się panu zdaje? spytał ze swojéj strony Ostap.

— Ha! zlicytujemy!

— Nie; na cóż to mówić próżno? panowie zlicytować ani się spodziewacie; w najgorszym razie, bank nas zasłania.

— Nieopłacony.

— Zaspokojony, co do grosza.

— Tém lepiéj. Albo to pan nie wié, że i z bankową summą zlicytować można!

— Można, zapewne, ale my tymczasem rachunki nasze i pieniądze pańskie składamy w prykazie.

— W prykazie, to już taki projekt? zakrzy-

czał pan Ciemierka; w Prykazie! Co to ja małoletni czy co? A po co mnie Prykaz! ja nie chcę Prykazu?

— Dla czegoż pan nam grozisz licytacyą?

— To mi płaćcie.

— Płacim, tylko nie tyle ile pan żądasz; chcesz więcéj niżeli się istotnie należy.

— Cóż to ja szelma czy co? co to pan mówi? jakto? czegoż ja żądam?

— Procentów od procentu, naprzód.

— To święte! Było mi regularnie płacić procenta.

— Pan je odebrałeś!

— Ja?

— Tak, wszak to są kontrakty na smołę, a oto rachunki z jéj wypędu.

— Ja ze smoły i jednorocznego nie wziąłem procentu; pokażę moje rachunki. W Kremieńczugu spadła, zły był wydatek, ludzi najmowałem drogo, szurki mi popalono. Pokażę czarno na białém.

— I my także wyjaśnimy, że pan przebrałeś nawet procenta: znikną więc i one, i te marzone procenta od procentów.

— Pan mnie masz za szelmę! ja to widzę! co to pan myśli! pan mnie obraża!

— Myślę, że jeżeli się pan obrażasz, toś na to zasłużył. Dajmy pokój téj beczce, z innéj zacznijmy: do rzeczy panie! do rzeczy! Ja się nie zlęknę! Chcesz kończyć, kończ; chcesz się strzelać, strzelaj; a nie, no to upadam do nóg: drzwi otwarte.

Ciemierka przywykły do tego, że się go bali jak ognia, bo nawet hołdujący jego szkatułce książęta traktować go tak nie śmieli, ogłupiał, oczy wytrzeszczył i wielkie—A a a, wydobyło się ze ściśniętego jego gardła. Chciał łajać i po swojemu bić pięścią w stolik, ale marsowa mina Ostapa i szerokie jego ramiona, nie dozwoliły dopuścić się ostateczności; spowolniał więc jak baranek, siadł, westchnął i rzekł ciszéj:

— No, co tu panie żartować; ot kończmy zgodnie i będzie najlepiéj: szanuję i szanowałem hrabiego i czczę tego anioła naszego, panią hrabinę.

Ostap się uśmiechnął; czemuś ich pan tak wprzódy nie szanował? spytał.

— Zawsze! zawsze! Bóg widzi; dla nich to

uczynię, że choć ze stratą, gotów jestem kończyć. Niech ludzie wiedzą, że ja mam przecie czucie, i nie taki jestem jak mnie czernią. Ot, od słowa, kończę.

— I jam gotów, rzekł Ostap; zrobimy rachunek ze smoły, odtrącim dostawione panu żyto i pszenicę, a resztę zapłacę.

— Żyto i pszenicę? spytał Ciemierka, który postrzegł z podziwieniem, że i to na wierzch wyszło.

— A tak panie.

— A—tak, ciszej rzekł wierzyciel, tak potrącim, zrobi się rachunek.

Gdy przyszło do obrachowania, które już przygotował Polakiewicz, Ciemierka znów podskakiwać zaczął, rzucać się a nawet łajać; ale widząc, że Ostap tylko się uśmiecha i ramionami rusza, dał pokój. Długo naprawiwszy o swoim szacunku dla hrabinej i hrabiego, wreszcie podpisał ugodę, i koniec końcem skończył.

— A teraz panu powiem, rzekł stękając zbywszy się wszystkiego, bez pochlebstwa, ale jak Boga kocham, takiego człowieka jak pan, nie widziałem! Tak się w jeden mig wyu-

czyć interesów, tak wszystko spamiętać; nie dla proporcyi głowa, nie dla proporcyi panie! Żebym miał dobra i interesa, dałbym panu cobyś chciał, żebyś się zajął.

Ostap uśmiechnął się z politowaniem.

— A teraz panie, rzekł Ciemierka, jeszcze to nie dosyć; mam kilka cudzych interesów; dosyć nad swoim wypotniałem, kończmy resztę jak można.

— Jak sprawiedliwie, dodał Ostap.

Wzięli się natychmiast do obrachunków, i co się tycze innych, poszły układy bardzo łatwo; lecz gdy przyszedł na stół interes pana Susła, który ogromne zakładał pretensye z zaległych pensyi i t. p. Ostap surowszym jeszcze i ściślejszym niż ze wszystkiemi się okazał. Ciemierka choć chciał ratować dawnego swego znajomego i przyjaciela, nie potrafił. Okazało się, że z zażądanych 50,000, nietylko nic mu nie należało, ale jeszcze z 50 najmniej innych zostawało wytłómaczyć. — A dopóki z tych się nie wyrachuje, dodał Ostap, odpowiadają mi jego ramanenta i na wszelkie fundusze nałożony sekwestr.

Nie było sposobu; po naradzie jednej i dru-

giej, Ciemierka przyjechał w poselstwie od Susła, że się ten zrzeka pretensyi, prosząc tylko o pokwitowanie.

Ostap dał się zmiękczyć i skończył.

Ale to była lżejsza część pracy. Któż policzy wszystkie przykre spotkania z nieprzyjaciółmi Alfreda, otaczającemi zewsząd, od ludu począwszy, aż do sąsiadów i urzędników. Trzeba go było uniewinnić, tłómaczyć, jednać mu serca, łagodzić urazy; tu może największy dał dowód przyjaźni Ostap, bo się porywał na rzecz prawie niepodobną. Krewni i przyjaciele zabitego, których żal świeży jeszcze, wrzał nienawiścią, podnosili przeciwko niemu wszystkich. Nie można było myśleć o zjednaniu przyjaznych; trzeba było tylko gasić zawziętość, rozbrajać niechęci, a Ostap choć w części, rozpoczął to wielkie i trudne dzieło.

Tak ubiegło przeszło pół roku, szybkie jak pół dnia pracy. Alfred coraz rzadziej pisywać zaczął, Michalina spokojniejsza o przyszły los dziecięcia, mężem się tylko i jego wygnaniem trapić zdawała. Ostap chodził chmur-

ny i dźwigał się sił ostatkiem: a w Bondarczukowym chutorze?

Tam, Jaryna dnie i noce wypłakiwała, wyglądała, niecierpliwiła się, wróżyła, zadumywała. Próżno rodzice, stary Kuźma, krewni, przyjaciółki, starali się ją pocieszyć, rozerwać, zapewniając że mąż powróci: przeczuwała opuszczenie, rwała się za zbiegłym, ale nie wiedziała gdzie go szukać. Długo tak z myślami swojemi się biła, póki nie domyśliła się, że Ostap najprędzej mógł być u swoich krewnych, w rodzinnej wiosce. Krewni ci przyjeżdżali go odwiedzać, opowiadali o sobie, wiedziano gdzie mieszkali, łatwo więc było tam się dostać; a Jaryna postanowiła, choćby na kraju świata, mówiła w duszy, szukać swojego Ostapa. Stary Kuźma uległ nieustannym naleganiom córki; matka wiedzieć o nich nie chciała, opierała się długo, aż zmożona, zapłakana przyzwolić na podróż musiała. Jaryna wieczorem wymodliwszy od niéj pozwolenie, zrana przypędziła tak Kuźmę, że pomimo mnóstwo rzeczy brakujących do drogi, wybrali się koło południa. Kulina stojąc w progu, płakała powtarzając—Nieszczęście! Ale to niepomogło.

Córka siedziała już na wozie, Kuźma biczyskiem krzyż kreślił, koniki się rwały — ruszyli.

Stary milczał całą drogę i wzdychał, Jaryna płakała: tak się dobili nabłądziwszy dosyć, napytawszy dowoli, do majątku hrabinéj, do rodziny Ostapa uwolnionéj i osiadłéj na danych im gruntach. Tu Ostapa nie było; wiedzieli jednak że był w Skale. Jaryna szczęśliwa tą wieścią, niedawszy koniom i staremu spocząć, chciała tegoż dnia jechać do Skały; ale krewni zatrzymali na nocleg, przyjmując gościnnie i serdecznie.

Nazajutrz Ostap siedział w ganku z Michaliną, a mały Staś bawił się z pieskiem na wschodach, gdy wóz wieśniaczy zaturkotał na dziedzińcu. Jaryna pędem wpadła przed dom, wprost na męża, chwytając go w objęcia z szaloną radością.

— A! przecież ja ciebie mam! wołała zachodząc od namiętnego śmiechu, w którym łzy słychać było. Znalazłam wreszcie swojego! To ja! to ja!

W téj chwili spójrzała przypadkiem na Mi-

chalinę, która blada jak mur, schyliła się do dziecka żeby ukryć co się z nią działo.

Ostap stracił przytomność i ledwie nie osłabł; — nic nie odpowiedział żonie, skłonił się zmięszany hrabinie, porwał Jarynę za rękę, i szybko uprowadził ją z sobą.

Po chmurnem czole jego, po milczeniu posępnem, odgadła kobiéta że nie w porę przybyła; radość jej, jak przelotne wesele dziecięcia, zmieniła się w strach i boleść; szła za mężem jak idzie na śmierć skazany człowiek; Ostap wlókł ją za sobą jak kajdany. Stanęli u drzwi jego domku w końcu ogrodu; Kuźma przybył za niemi także zafrasowany, i na widok Ostapa bojaźnią zdjęty: weszli do izby.

— Zleście zrobili, rzekł Ostap niepatrząc nawet na Jarynę, żeście przyjechali tu bez mojego pozwolenia. Mówiłem wam, czekajcię; potrzeba było czekać na mnie cierpliwie.

— A cóż złego jak będziemy razem, spytała Jaryna ośmielona jego powolnością; albo to ja nie twoja żona!

— To prawda Jaryno, ale ja mam moje prace, moje potrzeby z których chyba później będę się mógł wam wytłómaczyć. Tyś tu nie-

potrzebna. Tobie tu nie w ład i z tobą nie w ład będzie.

— Ze mną? to prawda, odparła obrażona, bo ta piękna pani bardzo była blada kiedy mnie zobaczyła.

Ostap zatrząsł się cały.

— Coś powiedziała! krzyknął. Co ci w głowie! Jaryno!

— Co? co? to co i drugim; ludzie gadają— ja tego nie zmyśliłam sama.

— Ludzie! ludzie głupi, ludzie podli, a ty śmiesz to powtarzać!

— Widzisz Ostapie! gdyby to była bajka, tybyś się śmiał, a nie gniewałbyś się tak bardzo.

— Jeśli ci Bóg miły, powtórzył Ostap— milcz. Kto śmie panią moję potwarzać? Kto?

Jaryna głosem i postawą przelękła się; opuściła ją odwaga, mowa, i zamilkła.

— Kto ci to mówił?

Kuźma drapiąc się po głowie, pomięszał się zakłopotany.

— Ej! zięciaszku, kochanku, dajcie pokój! dajcie pokój; ludzie ludźmi, im aby gadać,

dla nich czarny kij to wąż, a zeschły liść to żaba, aby dwoje to i para, pluń, pluń i porzuć; zwyczajnie babskie plotki. Kobiecie aby mara to i strach; nie gniewajcie się, proszę ja was. A nie chcecie nas, no to przepraszamy, a pocałowawszy, pojedziemy i będziemy czekać na was gdzie każecie.

— Byłoby najlepiej, rzekł Ostap, żebyście się byli od razu z miejsca nie ruszali; mnie tu nie żona w głowie.—Jaryna bolejąc od każdego słówka, to bladła, to płomieniła; gniew poczynał poruszać jej usta drżące.

— I po cóżeś mnie brał, spytała po chwili, żebyś naśmiał się ze mnie nieszczęśliwej. Wziąłeś mnie, żyjże ze mną.

— Powrócę, rzekł smutnie Ostap.

— Nie, ja tu zostanę, odpowiedziała Jaryna stanowczo.—Cóż to, czym ja jaka przybłęda, żebyś się mnie wstydził przed ludźmi?

— Jaryno! Jaryno! to nie wstyd!

— O! alboż ja wiem co to jest! Zapłakała biedna i upadła zachodząc się od płaczu. Kuźma ruszał ramionami niewiedząc czy córkę ratować, czy zięcia przepraszać; Ostap stał

w boju z sobą, walczył i zebrał się na odwagę.

— Chcesz, rzekł, wiec zostaniesz ze mną.

— Zostanę? pozwolisz? spytała weselej podnosząc się, pozwolisz? nie wstydzisz się mnie.

— Zostaniesz; ale posłuchaj, będę cię prosił.

— A! każ tylko, zrobię co mi każesz, byłebym została!

— Ciężko tu będzie tobie pomieścić się; całe dni będziesz sama, ja ciągle jeżdżę, nikogo nie będzie przy tobie. Czy nie lepiejby ci pojechać do moich krewnych siedzieć u nich. Jabym cię tam odwiedzał. Będziesz blizko.

— Blizko! ale nie razem!

Ostap odwrócił się z uczuciem boleśnem, głowa mu się trzaskała, nie wiedział co począć; tylu dowodów przywiązania nie mógł i jednem dobrém słowem zapłacić! Chciał na sobie wymodz żeby się do niej zbliżyć, uspokoić ją, upieścić; wzdrygał się na takie kłamstwo. Od niej do niego tak było daleko! Jego wychowanie, życie, myśl tak wysoko uniosły od poziomu, po którym szła biedna

Jaryna! Oni się zrozumieć nie mogli; a żaden węzeł tajemniczéj sympatyi co zbliża najdziwniej ludzi, jego ku niej nie pociągał, jak ją porywał ku niemu.

Kuźma obracał czapkę w ręku, chcąc szczerze przemówić za córką, żeby jéj wolno było zostać w Skale; ale się na to nie zdobył. Całując tylko w rękę Ostapa zbliżył się ku niemu, popatrzał mu w oczy długo, wyraziście, i ręką wskazał Jarynę, która płacząc z za łez poglądała to na ojca, to na męża.

— Mój stary, odezwał się Bondarczuk powoli, ty to łatwiéj zrozumiesz; ja tu już może nie długo pobędę, gdzież mnie tu z żoną się zagospodarowywać. Ot, jeszcze kilka tygodni i byłbym powrócił do was.

— Ale jéj tęskno? rzekł stary cichutko.

— Wszakżem wprzódy wam o tém mówił, wyście się zgodzili.

— Toć prawda! ale sercu nie rozkazać!

— Więc niech Jaryna zostanie, rzekł Ostap, zgadzam się na to; mil dwie nie za światem, będę się dowiadywać do niej.

— A na cóż o mil dwie, przerwała kobieta cicho, wszakże ja tu nikomu wody nie za-

mącę. Czyż to mnie wiele potrzeba? aby kątek, byle dachu kawałek, byle chleba skrajczyk, wody kubek; ja nie zawadzę, będę siedzieć cicho, spokojnie, a jak każecie, to i nikt mnie nie zobaczy.

Ostap uczuł się zmiękczony tą prośbą pełną wyrazów, lecz nie mógł czy nie chciał ustąpić.

— Moja Jaryno, rzekł do niej, czyż ty dla mnie nie zrobisz pierwszej rzeczy, o którą cię proszę?

— Wszystko, zawołała kobieta z gorącem wejrzeniem; ale nie chciejcie za wiele. Chcesz żebym nie wierzyła co ludzie mówią, to nie odpędzajże mnie.

— Znowu! zakrzyknął Ostap porywając się, znowu toż samo! nie wspominaj tego!

— Tsyt bo, tsyt, szepnął Kuźma przestraszony dotykając ją łokciem, daj bo pokój temu.

Jaryna rozpłakała się znowu i usiadła na ziemi zachodząc się od łez; Kuźma patrzał to na nią, to na zięcia; Ostap chodził wielkiemi krokami.

— Niechże zostanie, rzekł po chwili namysłu, niech zostanie tutaj, pozwalam. Oto izba

twoja Jaryno, dodał; oto podwórko twoje, dalej ani krokiem.

Powiedział i wybiegł do ogrodu, szalony cierpieniem, zmieniony boleścią, w rozpaczy prawie.

Późno w noc powrócił i siadł do pracy, a dzień wschodzący zastał go nad stołem jeszcze. Jaryna w kątku siedziała skulona, senna, a nie śpiąca, z oczyma wlepionemi w niego, przelękła, zbolała; czekała słówka pociechy, wejrzenia, napróżno. Nareszcie podróż, zmęczenie, samo cierpienie uspiły ją. Ostap rzucił pióro, przymknął sam okienice, posadził sługę na straży i odjechał.

Michalina przebywszy pierwsze wstrząśnienie przykre, na widok Jaryny doznane, uspokoiła się oglądając zimniejszém okiem położenie swoje. Widziała teraz całą wielkość ofiary którą Ostap uczynił — nadaremnie. Tajemnica która zaręczała skutek, wydana była trafem, a wprzódy jeszcze przeczuta. Ostap pomimo ożenienia pozostał dla niéj czém był, a czyn ten zamiast go spodlić, podnosił jeszcze w jéj oczach— Nie mogłażbym nic dla niego? spytała siebie, gdy on tyle dla nas uczynił?

Powtarzała sobie to pytanie tyle razy, że wreszcie znalazła na nie w sercu odpowiedź. Postanowiła zbliżyć się do Jaryny i sprobować czy ją poufałe, serdeczne obejście, zachęta jaka, nie potrafią podnieść, wykształcic, uczynić godniejszą Ostapa. Najtrudniej było przystąpić do nieufnej, dzikiej prawie a cierpieniem zdziczałej jeszcze kobiety; potém prostemi słowy trafić do jéj przekonania i skłonić żeby podała rękę, otworzyła serce.

Michalina pojęła trudność tego przedsięwzięcia, ale nią się nie zraziła. Wiedząc kiedy Ostapa nie było w domu, przyszła do niéj raz pierwszy, z twarzą tak przyjaźną, ze słowem tak serdecznem, że płaczące dziecię wioski, dało się niemi pociągnąć. I poszły razem nie jak pani i wieśniaczka, ale jak starsza z młodszą siostrą, w ogród, potem do dworu. Jaryna szczebiotliwe ptaszę, ze wszystkiego jéj się zaraz wyspowiadała, z myśli, z uczuć, nawet z wieści, które schwytała po drodze. Krasnym rumieńcem oblało się czoło Michaliny; westchnęła, nie odpowiedziała nic, uśmiechnęła się tylko żałośnie.

Nazajutrz przyszła znowu do Jaryny i pociągnęła ją z sobą już łatwiej, już chętniej idą-

cą; trzeciego dnia czekała na panią wieśniaczka, czwartego sama pobiegła do dworu. Ostap ciągle zajęty, ledwie kilką słowami, skinieniem głowy, spojrzeniem witał i żegnał żonę; nie było dla niej rozrywki, pociechy, tylko z Michaliną. Ta wabiła ją, nęciła, przymilała się do niej; jakże jej do siebie nie miała przywiązać?

Postępowała z nią jak z dziecięciem, powolnie, łagodnie, naprowadziła na żądanie tego co dla niej było pożytecznem, i z podziwieniem postrzegła, że Jaryna czuła się niższą, chciała się podnieść, ukształcić, zbliżyć do męża. Z radością ujrzała to uczucie w niej Michalina, wszczepiając je głębiej w serce wieśniaczki. Nie dała jej tego co pospolicie nauką zowią, nauki suchej, która podobna jest do zasuszonych ziół co je na lekarstwo zbierają, tak różnych od żywych kwiatów! Przelewała w nią Michalina rozmową samą, żywemi słowy, naukę żywą, zdrową, która oczyszczała się jeszcze przez serce idąc do głowy. Jaryna słuchała jej, jak wprzódy Ostapa z tym zachwytem dusz prostych, które z uniesieniem witają świtające im światło nowego dnia. Całe godziny milcząca, zaduma-

na, sparłszy piękną swą głowę na ręku, wpatrując się w hrabinę, cierpliwa, ciekawa, głodna, wyzywała, pragnąc opowiadań bez końca. Badała Michalinę naiwnie, biegła do niej codzień po pokarm dla duszy, którego już czuła potrzebę. Można ją w człowieku przytłumić, ale zgasić niepodobna; zestarzałemu w niewiadomości i opuszczeniu, okaż promyk światła, pozwól mu skierować się ku niemu, a rzuci się nań chciwie. Ciekawość, ten głód duszy nieśmiertelnéj, pragnącéj wiedzą związać się ze światem — w kimże zupełnie umarła?

Ostap od przybycia żony rzadko widywał Michalinę; o jéj stosunkach z nią nie wiedział wcale z początku, bo Jaryna mówić o nich nie śmiała, on nie badał, hrabina milczała umyślnie. Tak upływały dnie, tygodnie, miesiące. W pracy czas schodzi piorunem, ani się obejrzeć: Ostap szukał pracy bo czas mu ciężył, rzucał się na nią a nie brakło przedmiotu. Choć główne trudności były już ułatwione, pozostawało drobnostkowe dokonanie wszystkiego, często mozolniejsze niż plany i urządzenia ogólne.

Alfred, którego o postępie czynności uwia-

damiał, coraz to rzadzéj odzywał się z zagranicy. Pracowano starając się o przebaczenie mu winy, i choć familia zabitego ogłaszała że mu bezkarnie powrócić nie da, były wszakże nadzieje jeśli nie darowania kary, to ulżenia jéj przynajmniéj.

Michalina w nowém życiu swojém, niespodziewane znalazła przyjemności; bo niema pracy, którąby się nie wywdzięczyła, niema dobrego uczynku, co by się nie zapłacił wewnętrzną radością. Dwoje dzieci, Staś i Jaryna, zajmowali ją całą; widziała Ostapa i to jéj wystarczało; oswoiła się z myślą że dla niéj stracony był na zawsze... Alfred zajmował ją oddalony, jak przyjaciel, jak ojciec dziecięcia; kochać go usiłowała napróżno. W ostatnich czasach boleśnie ścisnęło się jéj serce na popełnione przez niego szaleństwa: uczuła jakby litość połączoną ze wstrętem.

I tak biegło życie w Skale.

W jednym domu, w jednéj izdebce żyjąc z Ostapem, Jaryna była mu obcą jak w pierwszych dniach poznania: ledwie przemówił do niéj, ledwie na nią spójrzał; obawiał się jéj i unikał. Ona znosiła spokojnie, ulegle, ci-

cho, ból swój; nie mogąc go wymówić, wypłakiwała.

Czasem tylko z litości, Ostap szepnął do niej — Zobaczysz; powrócim tam, powrócim; łzy ustaną, będziesz szczęśliwsza.

Ona spoglądała jasnem okiem na niego, serce jej zabiło do tego szczęścia pokazywanego zdaleka jak cacko dziecięciu, i zamilkła — nie miała już nadziei. Gdy jej bardzo a bardzo było na sercu ciężko, gdy się łzy nadto kręciły w powiekach, szła ukradkiem do Michaliny. Dla niej nie miała już tajemnic: powiedziała jej wszystko jak matce, jak siostrze; ta ją pocieszała jak dziecię — jutrem. I pocieszając starała się to jutro uczynić podobnem, a szczęście dla Ostapa bez siebie dostępnem. Przewidywała nawet chwilę w której zdziwi się swej żonie, przybliży do niej pociągniony urokiem nowości może, pokocha ją i zapomni.

Ona nigdy zapomnieć nie chciała.

Dwa miesiące upłynęły od przybycia Jaryny do Skały, gdy w nocy umyślny posłaniec przybiegł z listem do Ostapa z nad granicy.

Nie znalazł go w domku, w którym jak zwykle Jaryna sama siedząc na ziemi u spopielałego komina, patrzała na gasnące w nim, jedna za drugą iskierki. List był pilny; pośpieszono szukać go gdzieindziej, i znaleziono aż u brzegu rzeki, z nocleżanami siedzącego na kłodzie, w tym stanie pół snu, pół jawy, co roskosznem marzeniem strapionych kołysze.

Często tak Ostap z życia, w które go wepchnęły obowiązki, wyrywał się uciekając do wiejskiego. Niezapomniane chwile młodości, kołatały do jego duszy wdzięcznym go wabiąc uśmiechem, do tych uciech nędzy których sierotą doznawał na łąkach, w lasach, u brzegu wód błąkając się swobodny.

Nieraz wiedziony tą niepojętą chętką biegł za trzodami zdala, wpatrując się w życie pastusze, chwytając wyrazy prostej piosenki, dźwięki znajoméj przegrywki, dymy znanego ogniska; nieraz podkradał się do wesołych nocleżan, rozmawiał z niemi, i wspominając dawne, najpierwsze lata swoje, tęskno pieścił się ich przypomnieniem. Nieraz błądził samotny po lasach, szukał gospodarzy co szli z pługami w pole, by z niemi pomówić, zbliżał się do pracujących i chciwie patrzał na

ich zatrudnienia. Wszystko co mu dziecińs two wieśniacze wracało, było mu drogiém. Czemuż temu smutnemu nawet dzieciństwu zazdrościł? czemu téj nędzy żałował? nie wiém; tak wszyscy po czemś płaczem, choćby po łzach własnych, i żal nam przeszłości zawsze, a młodszych lat stokroć więcéj niż innych!

Jemu lżéj było ze swemi, i długie godziny spędzał z niemi roskosznie, a każde tętno życia wiejskiego żywo w nim odzywało się jeszcze. Niewidzialna siła pociągała go ku temu stanowi, z którego jednak wyszedł tak wcześnie: inny byłby się może wstydził? byłby uczuciu kazał zamilknąć, myśli odwrócił gdzieindziej, on je szanował i cieszył się niemi.

Czuł się niezepsutym; oświecenie, cywilizacya ta tylko dobra, która związku człowieka z prostém życiem i prostemi uczuciami nie zrywa. Biada tym uczonym, co wszystką naukę swą czerpią z książki, co świat w nią radziby zamknąć. Książka jest jak beczka wody przyniesionéj z krynicy; lżéj zaczerpnąć z téj beczki, ale u źródła woda lepsza.

Posłaniec, który zachwycił Ostapa w jednem z tych zadumań któremi dusza ucieka

ze świata, tak że ją niełatwo ku niemu sprowadzić — długo oddawał mu list, nim się opamiętał gdzie był i czego od niego chciano. Nareszcie wziął pismo w ręce: machinalnie, obojętnie, rozłamał pieczątkę, ale ledwie słów kilka przeczytał, krzyknął, zakrył oczy i upadł.

Ludzie skoczyli ku niemu ratować; ale za pierwszém dotknięciem obcéj ręki już był na nogach; chwycił papier, łzy mu z powiek pociekły i szybkim krokiem pobiegł, nie wiedząc dokąd.

List ten zawierał doniesienie o śmierci Alfreda. Michalina była wdową. Testament, opiekunem dziecięcia naznaczał Bondarczuka.

Wielkie wstrząśnienia straszne są tylko dla słabych, którzy ich w pierwszych chwilach nie czują, a potém upadają pod niemi; silnym, one się czuć dają od razu, ale nie wyczerpując odwagi i mocy, zostawują ich przytomnemi i gotowemi do walki, do czynu.

Ostap ochłonął, rozpatrzył się w położeniu swojém, boleśnie schwycił za serce, i cicho rzekł w duszy: — Stań się wola Twoja! Droga przed nim stała szeroka, odkryta, stroma i ciężka, ale nieominiona.

List odebrany zawierał te słowa:

„Wczoraj, dnia 30 lipca 18... hrabia Alfred S. po krótkiej chorobie spowodowanej w części zmartwieniem, w części sposobem życia niestosownym ze stanem zdrowia, umarł tutaj we Lwowie, w domu pod N... na ulicy Brackiej. Testament jego sporządzony formalnie, na kilka godzin przed śmiercią, naznacza pana opiekunem żony i dziecięcia małoletniego. Spieszę pana zawiadomić o tym smutnym wypadku, prosząc o rychłe rozporządzenie pozostałością, jaka się znalazła przy hrabi i załatwienie należności, które i t. d...”

Przy liście przyłączona była historya choroby, wyjaśniająca przyczyny śmierci. Dla Ostapa jedna była najwidoczniejsza, smutek, zwątpienie, zgryzota. List do hrabinej na łożu śmierci pisany, przysłano także Ostapowi dla oddania jéj.

Jak miał teraz postąpić? jak uwiadomić hrabinę o śmierci męża? Dzień upłynął na rozmysłach; wieczorem dopiero Ostap poszedł do dworu. Tu pierwszy raz znalazł żonę swoję przy Michalinie, siedzącą na ziemi i słuchającą z uwagą, z zajęciem, łagodnym głosem i macierzyńskiemi słowy udzielanéj nauki. Na

ten widok, serce mu się wzruszyło, stanął w progu: dwie łzy zwinęły się na opalonym policzku, błysły i znikły. Wesoła prawie twarz Michaliny, przykre na nim robiła wrażenie; ta kobieta nie miała już na świecie nikogo prócz dalekich bardzo i całkiem jéj nieznajomych krewnych; dokoła zaś nieprzyjaciół chciwych jéj mienia, zazdroszczących jéj chwili spokoju. Mógłże ją na pastwę losu i ludzi porzucić? Wszedł; na widok jego Jaryna przelękniona krzyknęła i chciała uciekać, ale ją hrabina z uśmiechem zwycięzkim za rękę wstrzymała.

— Wszak pan nie zabronisz żonie, odezwała się, kilka godzin dnia przebyć ze mną, ja jestem tak sama?

— A! pani, mógłżebym się temu przeciwić? boję się tylko by to dziecię nie nadużyło twojéj dobroci.

— Ale ja panu powtarzam, to dla mnie dobrodziejstwo; ona tak dobra, łagodna i miła.

— Od niéj do pani tak daleko! rzekł Ostap cicho, jakaż być może przyjemność?

— Tak-że to pan w sposób pospolity świat pojmujesz? myśmy daleko; ale zarówno ja od niéj, jak ona odemnie możemy skorzystać.

A są miejsca, są ścieżki, są uczucia prawdziwe, odwieczne, wspólne wszystkim, na których się spotykamy i rozumimy doskonale. Pozwól pan się połajać za te słowa jeszcze! Myśmy cywilizacyą daleko od natury i daleko od tego stanu błogiego, w którym ludzie prości widzą, czują, przeczuwają, czego my mozolnie rozumem dochodzić zmuszeni jesteśmy. My z naszą fałszywą oświatą, przez którą wiarę i instynkta rodzime straciliśmy, jesteśmy w wielu razach jak ślepy, który się uczy poznawać kolory palcami. Naszemi palcami, rozum!

— Porównanie, rzekł smutnie Ostap, posunięte za daleko; zresztą pani wiesz, dodał, że wedle francuzkiego przysłowia: *comparaison n'est pas raison.*

—Ja stoję przy swojém! przerwała Michalina; jeśli to porównanie nie podobało się panu, użyję drugiego. Oni są jak ptaszki, co ziółko którego im potrzeba nieznając, czują zdaleka darem Bożym, my ludzie szukamy go nie czując w tysiącach. Myśmy rozumniejsi, lecz oni niemylni!

Ale dość o tem, nie zechcesz mi odebrać dobrej już mojej znajomej i przyjaciółki?

— Pani jesteś aniołem! zawołał Ostap.

— Bez skrzydeł, bez białej sukni i bez szczęśliwości anioła, cicho dodała Michalina; czemuż nie mamy być razem, odezwała się głośniéj, zawsze razem.

— Nie umiem odpowiedzieć na to; dziękuję tylko z serca, czyń pani co chcesz. Lecz jeśli zbyt wielkie i ciężkie widzieć będę ofiary, ucieknę, uciekniemy z nią razem. Nie chcę być ciężarem.

— Niewdzięczny! niedobry przyjacielu nasz, powstając i podając mu rękę z zapałem młodzieńczym zawołała Michalina; godziż się to mówić, i mówić to do mnie?

W téj przelotnéj chwili zbliżenia, uniesienia, uczucia Ostapa i Michaliny tak były jawne, że Jaryna któréj oczy czarne zaiskrzyły się zazdrością, porwała się z miejsca i gotowa była rozerwać spojone ich dłonie. Szczęściem hrabina odstąpiła zimniejsza, a Jaryna uspokoiła się, niespokojnie jednak w nią się wpatrując.

— Więc mi ją pan zostawisz? mówiła powolniéj pani, zbliżając się do wieśniaczki, która jeszcze nieufném na nią spoglądała okiem. Nieprawdaż?

Ostap zamilkł; łzy mu się tylko znowu zakręciły w oczach i powróciły nazad do serca: przypomniał sobie z czém przyszedł, i nie wiedział jak przygotować hrabinę do strasznéj wieści, którą niósł z sobą.

— Odebrałem list od hrabiego, rzekł wreszcie przytłumionym głosem.

— A do mnie nie pisał? spytała Michalina.

— Nie, jeden był list tylko; i ten nawet nie jego pisany ręką.

— Cóż to jest?

— Hrabia chory.

— Chory? podchwyciła z żywym niepokojem chwytając się za głowę, chory i bardzo? proszę mi mówić prawdę?

— Chory, dość mocno.

— Możesz mi pan ten list pokazać?

— W téj chwili — zostawiłem go u siebie, ale przyniosę.

— Cóż mu jest? jakże piszą?

— Nie wiém, zdaje się rodzaj gorączki; lekarz zdaje się obawiać o niego.

— Niebezpieczeństwo! moje miejsce przy nim! pojadę natychmiast, odezwała się Michalina; każ mi pan wszystko przygotować do drogi, jutro, dziś jeszcze jeśli można.

— Najważniejszém przygotowaniem jest pozwolenie wyjazdu, a tego nie mamy.

— Ale to się uzyszcze?

— I nie łatwo i nie prędko. Są formalności długie; wszakże będę robił starania.

— Dobry nasz, jedyny przyjacielu, ty to pojmujesz, smutnie zawołała Michalina, moje miejsce przy nim. Słaby! opuszczony, sam jeden, ja i dziecię tutaj, to się nie godzi; ja muszę być przy nim.

Ostap skłonił się w milczeniu i niewiedząc co więcéj powiedzieć, przyrzekał pośpieszyć z wyrobieniem pasportu, i odszedł.

Odszedł krążyć bez celu i myśli. Ciężar obowiązków, które z czasowych stawały się wiecznemi, ugniatał go; rozbierał swoje położenie i truchlał przed niém.

Noc zachwyciła go błąkającego się jeszcze, i wieczór z wiejską swą ciszą, przypomnieniem lat młodych, ukołysał strapienie. Jak zawsze, poruszył go widok zatrudnień wieczornych; wycisnęły westchnienie pieśni i wykrzyki pastusze; obwiało go słodko powietrze, przesiąkłe wyziewami znanemi, a klekot gderzącego bociana, przypomniał mu starą gruszę z gniazdem nad rozwaloną chatą

w któréj się urodził, gdzie pierwsze lata spędził bawiąc się na śmiecisku.

— Na cóż! zawołał z głębi duszy, dobroczynna ręka wyrwała mnie temu życiu do którego byłem stworzony; lepiéj mi było w nędzy, smutku i niewiadomości dobić się do brzegu, niż dziś tak cierpieć, tyle dźwigać i tak jasno widzieć strapienia i obowiązki swoje. Wolałbym chléb czarny i czarne myśli ciemnego chłopka, nad mój żywot dzisiejszy i straszne dumy moje. Ale stało się; nie narzekajmy, pracujmy! nie czas się cofać, i wola Boża nademną stać się musi; daléj a daléj do końca, koniec nie może być daleko.

Nazajutrz Ostap poszedł znów do hrabinéj; taić przed nią dłużéj śmierci męża nie było można. Poszedł i nie zdobył się na odwagę oznajmienia jéj, że została wdową; oznajmił tylko, że nowe odebrał pismo o pogorszającym się stanie jego zdrowia, i że zrobił przygotowanie do wyjazdu. Michalina nie przeczuła nic jeszcze; tylko choroba ojca podwoiła jéj czułość dla dziecięcia: chciała jechać, wyjeżdżać co najprędzéj.

Na trzeci dzień powrócił Ostap jeszcze; zmu-

szony okolicznościami, szedł powiedzieć jéj wszystko, ale słowa więdły mu na ustach.

— Cóż mój wyjazd? spytała go Michalina żywo, jak tylko postrzegła we drzwiach.

— Przygotowujemy wszystko, ale zdaje mi się....

— Co? byłbyś przeciwny temu?

— Ja? nie, ale zdaje mi się, powtórzył, że choroba hrabiego tak się powiększa.

— Byłżeby tak źle, tak źle! niebezpiecznie! pokaż mi pan te listy, pokaż mi je koniecznie.

— Nie mam ich z sobą.

Michalina spójrzała na niego, a w oczach jéj było cóś obłąkanego.

— Nie masz ich! nie masz! a Alfred jest tak źle.

— Bardzo źle.

— On umarł chyba! stając nagle krzyknęła — on umarł, mów mi prawdę!

— Umarł — cichym głosem powtórzył Ostap.

Michalina obejrzała się szukając dziecka oczyma, milcząca, na pozór zimna, nie odezwała się nic, zaciśnięte usta jéj drżały; chwyciła Stasia i przycisnęła go do siebie, rozśmiała

się wielkim serdecznym śmiechem, padła i omdlała.

Przez dni kilka nikt jej nie widział, nikt nie dostąpił; zamknięta z synem, tuliła go płacząc, nie mówiąc ni słowa. Przyszła Jaryna, po wiejsku poczynając ją pieścić, całować, pocieszać; ona zlekka odtrąciła ją, a w spójrzeniu, patrzał gniew prawie i smutek okropny i rozpacz, i jakieś myśli nieodgadnione.

W takim stanie bez zmian wielkich upłynęło dni kilka. Stan hrabinej zdawał się pogorszać; milczenie przerywane tylko śmiechem i płaczem serdecznym trwało ciągle: w nocy bywała nieprzytomna, usta jej otwierały się na dziwne narzekania, na żale niepojęte, na wykrzyki, boleśne nawet dla obcych.

Jaryna, której widoku znieść nie mogła, siedziała długo niewidocznie; Ostap także czuwał u drzwi. Biedny Staś nie mogąc pojąć ani swego nieszczęścia, ani matczynych cierpień, płakał widząc ją płaczącą; szarpał, prosząc żeby wstała i była wesołą.

Po chwilach najwyższego rozdrażnienia, szału i bezprzytomności, następowało opadnie-

nie z sił, sen głęboki i długi, potém znowu krzyki i śmiech i płacz serdeczny. Środki lekarskie które wskazywał Ostap i wezwany przez niego lekarz, mało, lub nic nie działały. Jak we wszystkich chorobach których przyczyną jest boleść duszy, ciężko było przez ciało oddziaływać na nią. Pocieszyć ją? czém było. Ostap jedyną pociechę widząc w dziecięciu, ciągle go przy niéj trzymać kazał; ale nawet uspokojona, patrzała nań obojętném, osłupiałém okiem.

Noce nadewszystko straszne były do przebycia: ze snu głębokiego budziła się krzykiem gwałtownym i padała rzucając we łzach i narzekaniu. Z urywanych słów jéj, zawsze odtrącana Jaryna, ujrzała przeszłość tajemniczą, porozumiała stan i położenie Michaliny i swoje i męża.

Zaczynała myśleć nad tém, i choć dramatu tego którego była osobą czynną, całkiem jeszcze objąć nie umiała, jak straszne widziadła przesuwały się sceny jego przed zdumionemi jéj oczyma.

Michalina wołała w nieprzytomnych szałach:

— Na co mnie tu trzymacie? puście mnie,

pójdę i umrę. Stasia on zabierze, on go wychowa — jam niepotrzebna. On będzie mu ojcem. Wiem, kocha mnie jak kochał, i dla mnie nie porzuci sieroty. Na co życie? on sobie świat zawiązał — między mną a sobą postawił kobietę — on żonaty, on się ożenił umyślnie.

I poczynała śmiać się tym okropnym śmiechem, który krew ścina w żyłach zimnym nawet ludziom.

Jaryna z tych urywanych wyrazów schwytała po trosze wszystko, domyśliła się reszty; czarne jéj oko zaszło krwią i łzą, czoło zmarszczyło się, pierś podniosła wstrzymywaném łkaniem. Milcząc poglądała na Ostapa, i zniknąwszy z pokoju Michaliny, zamknęła się w izdebce swojéj; siadła na ziemi, okryła głowę fartuchem, siedziała i płakała — dumała co począć z sobą?

Ostap nie opuszczał łoża hrabinéj; o Jarynie czasu nie było pomyśleć, kto wié czy przypomniał ją sobie, tylą uczuciami targany.

Starego Kuźmy nie było; nikt nie przyszedł, nie dowiedział się, nie pocieszył stroskanéj wieśniaczki; ujrzała się opuszczoną, uczuła niepotrzebną i zawadną.

— Pójdę ja na nasz chutor, pomyślała sobie, będę go czekać, będę się spodziewać, a jak nie doczekam, przynajmniéj życie minie w téj nadziei. Trzeba mi było tam zostać! o! trzeba mi było zostać! lepiéj zdaleka się spodziewać, niż rozpaczać zblizka.

Chciała powracać, sił jéj brakło; porzucić znowu Ostapa żal było. Wiedziała że jéj nie kocha, zrozumiała dla czego się z nią ożenił, a jednak czasami, spodziewała się jeszcze, sama nie wiedząc czego?

A Ostapa jak nie widać tak nie widać było. Szukała go codzień, wyglądała żeby przyszedł choć dowiedzieć się do niéj, choć słówkiem jéj dać sił do wytrwania—napróżno. W ostatku powiedziała sobie:—ja tutaj niepotrzebna jestem, nikt o mnie nie myśli, nikt do mnie nie przyjdzie—pójdę.

I ranku jednego wysunęła się ze swojéj pustéj izdebki, żeby raz jeszcze zobaczyć, pożegnać hrabinę, a potém—uciec do swoich. Ale do hrabinéj nie dopuścili jéj; w przedpokoju tylko zobaczyła Ostapa wyciągnionego w krześle, znużonego, bez czucia, nieprzytomnego, ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, ze

spuszczoną głową, bladego, jakby się kładł do trumny. Ostap jéj nie zobaczył, choć na nią patrzał. Głucha cisza panowała w pokoju; pani od godzin dwunastu już spała.

Suchém, wypaloném od łez okiem spójrzała na nich Jaryna zdaleka i odeszła. Nie wracając już do swojéj izdebki obróciła się ku słońcu, pomyślała w któréj stronie rodzice i wioska rodzinna, i sama jedna, bez grosza, bez przewodnika, śmiało jak ptak poszła w swoję stronę.

Nie pojmowała ani niebezpieczeństwa, ani trudności téj podróży; wielkie uczucie wszystko zasłania. Szła póki sił stawało; a gdy noc zapadła, siadała pod dębem u kraju lasu, okrywała głowę fartuchem, nie zasnąć lecz spocząć znużonym nogom. Czasem zastukała do chaty wieśniaczéj i znalazła w niéj przytułek: jéj młodość, jéj smutek wzbudzały litość: kierowano jéj drogą, dawano chętnie chleb i radę, i tak powoli, powoli, zbliżyła się ku Podolowi swojemu.

Gdy jéj piérwszy wiatr wieczorny przyniósł dym ziemi rodzinnéj, gdy ujrzała swoje wzgórza i doliny, gdy poczuła żyżne a tęskne Po-

dole, Jaryna zapłakała z radości, i choć znużona drogą poszła prędzéj żeby się dostać do swoich. Szła jeszcze dwa dni i przypadkiem, przeczuciem raczéj niż wiadomością, trafiła do Bondarczukowego chutoru.

Stary Kuźma naprawiał radlisko, mając wychodzić w pole; matka wybierała się stękając do ogrodu, gdy w bramie ujrzeli kobietę, któréj w początku nie poznali. Ciężka droga odbyta pieszo, smutek cięższy jeszcze, zmieniły bardzo piękną Jarynę: opalona, okryta pyłem, wychudła, w zabrukanéj bieliźnie, miała postać żebraczki. Blada jéj twarz z wpadłemi policzki, straszniejszém jeszcze czyniła oczów czarnych wejrzenie. Kuźma podniósł głowę gdy wrota zaskrzypiały, i krzyknął:

—Boże zmiłuj się, wszak to Jaryna!

—To ja! odpowiedziała cicho—o! to ja.

—Co tobie dziecko? sama! kto cię przywiózł. Coż to za nieszczęście? poczęli oboje rodzice spiesząc ku niéj.

—Przywiózł? nikt—przyszłam piechoto.

— Sama jedna.

— Jak widzicie.

— A Ostap?

— Ostap, i nie wie żem poszła — mówiła ze łzami—co ja jemu!

— Jakże, porzucił?

— Porzucił, nie—i nie spójrzał nigdy na mnie. Jego pani odebrała wiadomość o śmierci swojego męża—zachorowała. On przy niéj dzień i noc; byłam im niepotrzebna, poszłam sobie.

— W imię Ojca! zawołał stary Kuźma i matka ściskając czule córkę—sama! nieboraczka! nieszczęście! tyle mil! pieszo! O mój Boże! a nicże ci się w drodze nie stało?

— A cóż mi się stać mogło? nie umarłam, dowlekłam się.

To mówiąc usiadła na ziemi, a rodzice skacząc przy niéj, tulili ją i cieszyli. Gdy się nieco uspokoiła powiedli ją do domu i osłabłą otoczyli prawdziwie rodzicielskiém staraniem.

Stary Kuźma sam z Kuliną siedział u łóżka, i choć nie było sposobu obronić Ostapa to go bronił, to na siebie zwalił winę że córce pojechać pozwolił, wreszcie po swojemu upewniał, że Ostap wróci i wszystko będzie dobrze. Ale Ja-

ryna milczała na wszystko; lżej jej było trochę że powróciła do swoich, że widziała znowu ulubione miejsca, zresztą nic nawet żądać nie śmiała.

Po kilku dniach, znużenie odeszło, został milczący smutek. Siedząc w progu chaty z oczyma wlepionemi w bramę podwórka, patrzała na drogę i zdawała się czekać zawsze. Często tak do północka twarz w dłonie tuląc, uparcie poglądała ciągle w jednę stronę; każdy tentent, każdy szmer, każdy głos z daleka ją dochodzący, podnosił jej oczy, żywiej poruszał sercem. A gdy ją rodzice wypytywali czego tak czeka napróżno, odpowiadała:

— Niczego, tak siedzę sobie.

Matka dała jej pokój, łamiąc ręce po cichu i płacząc nad córką pokryjomu, po kątach; ale ojciec nierad był temu tak dziwnemu życiu; jemu się takie próżnowanie pomieścić w głowie nie mogło; obawiał się żeby nie oszalała, i raz przyszedłszy do niej wieczorkiem tak mówił:

— Słuchaj no Jaryno, albo ty taka chora bardzo, albo ty w sercu Boga nie masz.

— Alboż co?

—No! a juściż tak człowiekowi z założonemi rękoma życie przesiedzieć nie godzi się.

—A cóż ja robić będę?

—Co? albo to niema co robić? Chwalić Boga, jest pole i robota. Co to, że tobie smutno mój gołąbku; ot ja tobie powiem, że i ja w życiu nabolałem nieraz, a bywało, choć jak płaczę to do roboty idę. I przy pracy człowiek jakoś wszystko lepiej zniesie, bo i Pan Bóg pracę lubi. A tak siadłszy z żalem, a lubując się, w nim, to i zdrowie człowiek straci i rozum, ot i nic z tego nie przyjdzie.

Jaryna odwróciła się ku niemu:—mój ojcze, odezwała się, pozwólcie mi tak zostać; ja doprawdy nic nie mogę robić, i nie zdużam i nie spamiętam.

—A no, poprobować by! jak Bóg Bogiem, robota to lekarstwo moje dziecko.

—Na cóż mnie lekarstwo, ja nie chora?

—Co to gadać? rzekł Kuźma trzęsąc głową. Tobieby czas poszedł lepiej, prędzej, a tamta pani przechoruje i Ostap powróci.

—Choćby i powrócił, ja jemu nie w głowie.

—A pocóżby się żenił?

— Ojcze rodzony, ojcze kochany, choćbym ja tobie i powiedziała, tobyś mnie nie zrozumiał i nie uwierzył. Ja sama czuję jak to się zrobiło, a żebym rozumiała, to nie. On się ożenił, jak to powiedzieć, żeby ta pani, która go kochała dawniej, myślała sobie, że on o niéj zapomniał i dała mu pokój!

— To widać on jéj nie kochał, to i to dobrze!

— Gdzie tam! kto ich zrozumie! Ojcze rodzony, on ją bardzo kocha, ale kochał i męża, i nie chciał żeby się psuła. Co ja dla niego!

— Porzuć Jaryno, chodzi tobie po głowie sam Pan Bóg wié co, wymysły! ani ładu, ani składu!

Jaryna zamilkła; poszła nazajutrz do ogrodu, chciała cóś robić, nie mogła; wróciła na próg chaty i siedziała znowu jak przedtém.

Jesień się kończyła, a o Ostapie ani słychu. Jaryna na miejscu swojem dnie i wieczory, słucha najmniejszego szelestu, nieraz zerwie się i usiądzie znowu, zapłacze i przestanie.

Aż jednego poranku, z dziecięciem przytu-

lonem do piersi, postrzegła idącego Ostapa: podniosła się, zarumieniła, i oniemiawszy stała, niemogąc słowa przemówić.

Ostap niósł Stasia—sierotę. Michalina nie żyła. Zobaczył biédny przybysz żonę i uczuł litość nad nieszczęśliwą, podał jéj rękę drżącą, zaledwie mogąc wymówić:

— Widzisz, wróciłem.

— A! i nie porzucisz już nas?

— Nigdy! smutnie rzekł Ostap, nigdy, zostanę z wami.

Kuźma, Kulina, co żyło zbiegło się z krzykiem radośnym ku niemu, witając go, obejmując, zarzucając pytaniami. Jaryna z dziwnym uśmiechém, smutnym, patrzała po wszystkich jakby im mówić chciała: widzicie, on do mnie powrócił, on o mnie pamiętał.

Tej radości jeden nie dzielił, co ją wywołał. Jemu tu było tak pusto! i pusty był dla niego teraz cały Boży świat; a bijące przy nim poczciwe serca ożywić nie mogły téj pustyni.

Życie poświęceń nie skończyło się jeszcze; zostawała przed nim biédna Jaryna, któréj

miał zapłacić za łzy wylane, i sierota, której obiecał być ojcem.

W pocie czoła, z bolem serca, trzeba iść było dalej a dalej, niepożądając nawet spoczynku, odetchnienia i śmierci.

Szczęściem, Bóg ulubionym swoim daje wielką potęgę nad sobą, nad życiem, nad boleścią samą, tym robakiem toczącym żywot wszelkiego stworzenia. Ostap znalazł, jeśli nie spokój zupełny, (to jedyne szczęście trwalsze na ziemi), przynajmniej znośniejsze stały mu się cierpienia, bo je osładzał uśmiech sieroty i pokorne, wdzięczne, ciche a czułe spójrzenie Jaryny.

Dla Stasia został nauczycielem i ojcem, dla niej przyjacielem, mężem i prostym wieśniakiem jak ona; dla bratniego ludu lekarzem i doradzcą jak przedtem. Wziął sukmanę porzuconą, kij swój podróżny i począł obiegać sioła; a wieczory i ranki poświęcał domowym obowiązkom. Wielki żal, jak łza przemieniona w perłę, błyszczał na męzkiej jego piersi; jak każdy, co umie znosić boleść, stał się nią wyższy, potężniejszy; opromieniła mu ona skroń męczeńską, podniosła myśli, rozszerzyła serce.

A gdy ze wzrokiem zwróconym na siebie, pytał losu:—Czemu nie byłem szczęśliwy? z duszy własnej głos wewnętrzny mu odpowiadał:—Któż był szczęśliwy na ziemi?

Hubin. Czerwiec 1849.

KONIEC.